

Grudzińska-Gross  
chce krzepić Polaków

Rusz się i zmień zawód!  
Powiemy ci jak

Gdyby nie Rzymianie, święty  
Augustyn wysyłałby SMS-y

44

10

30

**PRZE  
KROJ**

# Marilyn Monroe:

pozwołmy jej odejść

Nieznane  
zapiski  
gwiazdy

36

Nr 12 (3430) / 22 MARCA 2011 / CENA 5 ZŁ  
w tym 8% VAT

WWW.PRZEKROJ.PL

INDEX

71220

ISSN

10033-2488

12

12

12

12

12

12

12

12

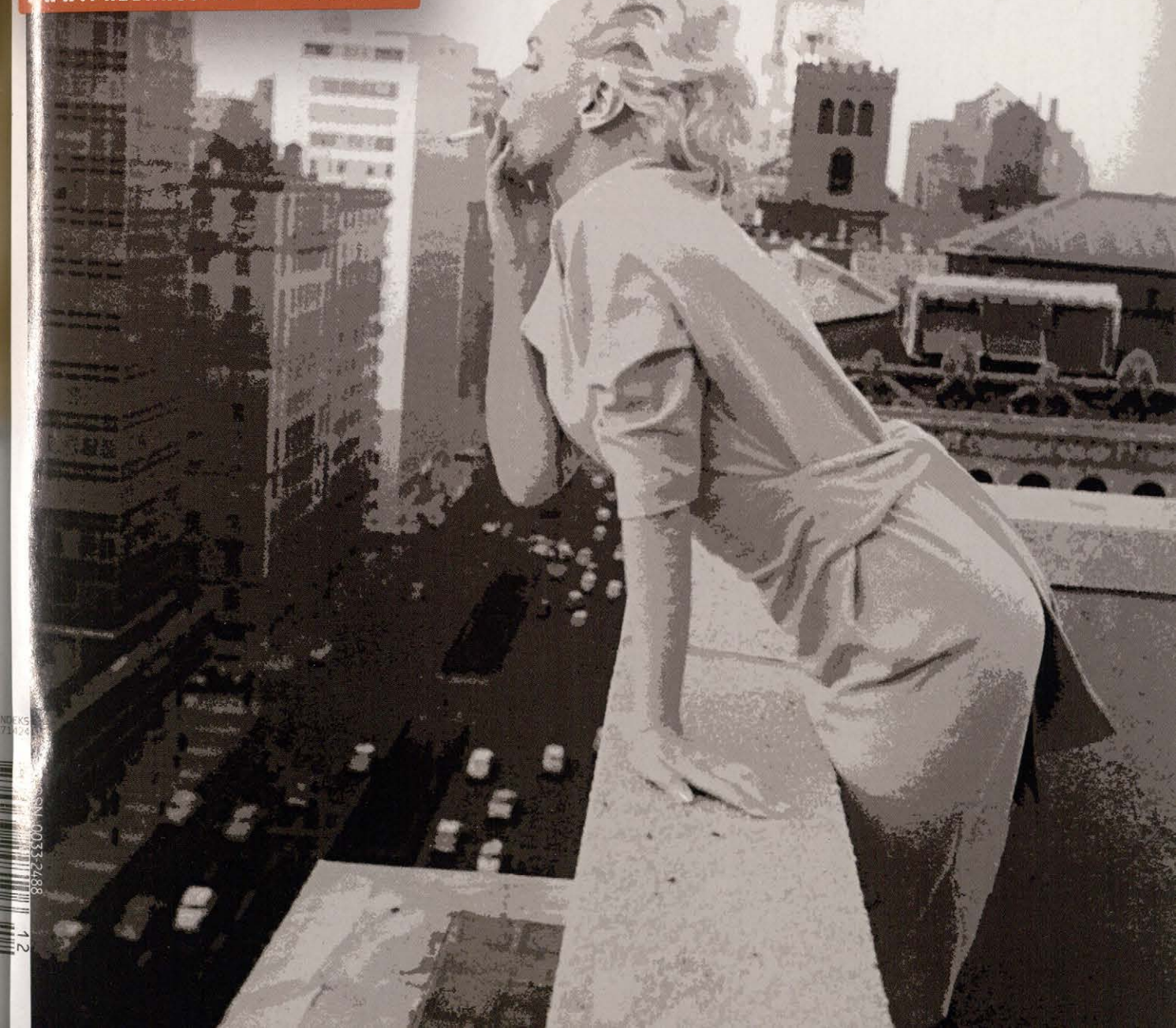
12

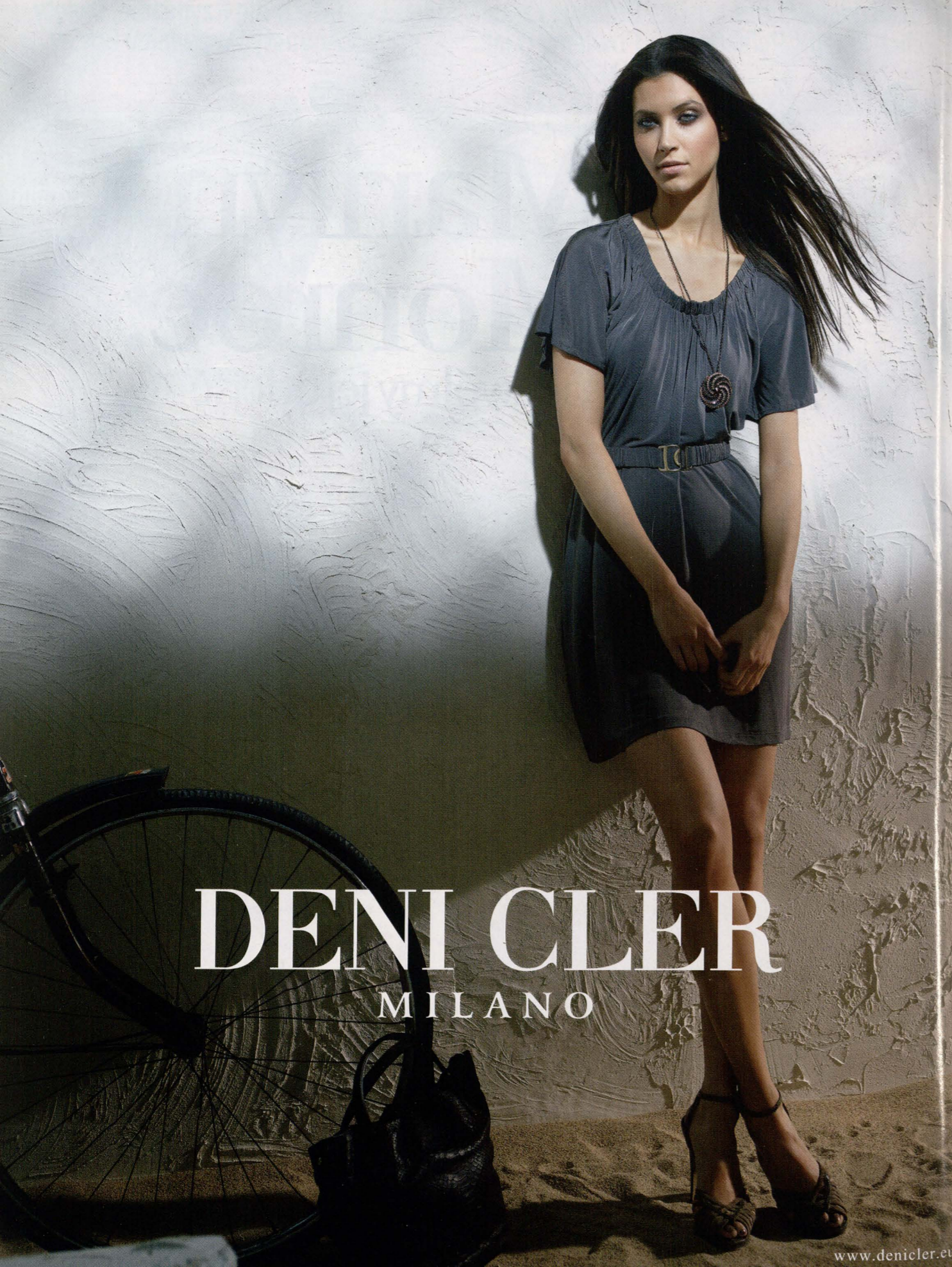
12

12

12

12





DENI CLER  
MILANO

www.denicler.eu

## PRZEKROJ

Założył w roku 1945  
w Krakowie redaktor  
Marian Eile

### „Przekrój” w sieci:

To jest błogosławiony łańcuszek świętego „Przekroju” obdarzający wszelkimi łaskami nawet wrednych, szpetnych, tępowych i niedomytych. I Ty możesz zatem zaznać szczęścia wszelakiego i zdobyć dobra doczesne nieprzebrane. Wystarczy wykupić roczną prenumeratę „Przekroju” i przekazać przesłanie dalej. Stasiek wykupił prenumeratę, choć był niepiśmienny i lubował się w dowcipach skatologicznych, z których nikt inny się nie śmiał. Jego życie całkowicie się odmieniło! Został działaczem Jedynie Szuszej Partii, a nowi koledzy rechotali serdecznie za każdym razem, gdy rzucał dowcipem. Stasiek miał odtąd zadziwiające powodzenie u koleżanek działaczek, szacunek i na wódkę. Pani Zenobia, której przekazał Stasiek łańcuszkowe przesłanie szczęścia, też wykupiła prenumeratę. Już po tygodniu mąż zszedł był na zawał, nieopatrznie zerknąwszy na świętokradczy rysunek Rączkowskiego. Pani Zenobia mogła wreszcie myśleć z radością o ślubie kościelnym z Bogdanem spod siódemki, któremu uległa bezwolnie (ach, ten wąż prawdziwopolakowy!) już pół roku temu. Pani Łucja, która łańcuszek szczęścia przerwała, srogą poniosła karę. Syn, zamiast studiować zarządzanie i marketing, poszedł na dziennikarstwo. Jak ona biedna z nauczycielskiej emerytury wyżywi ich oboje? Może zdejmie kłatwę, wchodząc na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)?



...albo na Facebook?



[twitter.com/przekroj\\_pl](https://twitter.com/przekroj_pl) ...Twitter?



[przekroj.blip.pl](http://przekroj.blip.pl) ...Blip? (wątpliwe)

Czas błagać o wybaczenie!  
[redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)

# W TYM TYGODNIU

CZEKAJĄC NA BEZCENNY NUMEREK, NIE PISZEMY...

...że drgnęło w muzealnictwie. Oto Muzeum Narodowe w Warszawie uprzejmie poinformowało nas, że „wystawiło na sprzedaż kompletne urządzenie automatycznej szatni na 1100 numerów przejezdnych, poruszających się po zamkniętym, owalnym torze, sterowanych z pulpitu na stanowisku wydawcy-szatniarza. Stan urządzenia idealny. Cena do negocjacji” – i z góry podziękowało za pomoc

w nagłośnieniu powyższej informacji, czemu czynimy zadość, nie pisząc, a zatem ofiarowując coś bezcennego.

...że lubimy czerpać ze skarbnicy przysłów, więc gdy prezentacja nowych systemów ochrony przeciwpowodziowej, na którą nas zaproszono, odbywa się pod hasłem „Gdzie gospodarzy sześcioro – tam woda w obęjsciu”, chylimy głowę, albowiem miłsze nam to niż polityczne aktualności – pędzące

zwykle po zamkniętym, owalnym torze.

...że nieco mniej wzruszyła nas kampania na rzecz przyznania stolicy miana Europejskiej Stolicy Kultury 2016 polegająca na wpisaniu w mapę Europy warszawskich dzielnic i okolic – ot, na przykład Szkocja okazuje się na promocyjnych mapach Targówkiem, a Las Kabacki zajmuje całą Sycylię. Bo rzecz jest równie poroniona, co nieprzenikniona,

a to my przecież jesteśmy specami od nieprzeniknionych aluzji, tyle że nikt nam za to nie wypłaca państwowo-miejskich pieniędzy.

...i rze w związku z tym nieszczególnie nas cieszy nawet triumf polskiego fóturyzmu, czyli ortograficzne *tour de force* Wielkiego Łowczego. Raczej jest nam go żal.

...i że w ogóle nam żal.  
MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Wiosenny paradoks: 21 marca przyszła wiosna, więc przyszła wiosna dopiero za rok.

## W TYM TYGODNIU

- 6 Świat według „Przekroju”  
Katarzyna Janowska  
i Orbita „Przekroju”  
Jana Hartmana
- 8 Tydzień z „Przekrojem”

## PRZED WSZYSTKIM

- 10 Zmień zawód! Do wiosennych porządków w naszym życiu zachęca Małgorzata Świąchowicz
- 14 Czy po katastrofie w Japonii kończy się era atomu? Odpowiada Rafał Kostrzyński
- 16 Bliźniaczkę syjamskie z Janikowa żyją dzięki królowi Arabii Saudyjskiej. Funkcjonują dzięki niezwykłej i walecznej matce. Państwo i dobroczyńcy przestali się nimi interesować, kiedy tylko telewizje wyjechały z Janikowa. Tekst Małgorzaty Świąchowicz
- 20 Dlaczego kawa jest taka droga i będzie jeszcze droższa, pisze Joanna Woźniczko-Czeczott
- 24 Krótko

## ROZMOWA PRZEKROJU

- 26 Robert Mazurek o przestojach w życiu 50-letniego aktora rozmawia ze Zbigniewem Zamachowskim

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 30 Gdyby nie ci okropni Rzymianie, to przez telefony komórkowe rozmawialibyśmy

## OD AUTORÓW



### Małgorzata Świąchowicz

Olga i Daria urodziły się zrośnięte i już z racji tego były znane. Później każdy trzymał kciuki, gdy leciały do Rijadu na operację rozdzielenia. Zabieg transmitowany w Internecie i telewizji trwał ponad pół doby i kosztował półtora miliona dolarów. 22 marca 2005 roku dziewczynki szczęśliwie wróciły z Arabii Saudyjskiej do swojego rodzinnego Janikowa i... No właśnie. Zerknij na s. 16, zobacz, co teraz.

### Marek Zając

Na salonach mówi się – czujecie wagę tej frazy? – że narracyjna werwa „Złotych żniw” to zasługa Ireny Grudzińskiej-Gross. Kiedy o tę opinię spytałem jej samą, odparła: „Dziękuję, ale Jan Tomasz Gross jest naprawdę świetnym pisarzem. To jego zasługa, że książka jest dobra”. Cóż, za skromnością czai się nietuzinkowy intelekt. Sprawdźcie na s. 44.

### Małgorzata Sadowska

Pisząc o Marilyn Monroe, znów wróciłam do „Sklóconych z życiem” (s. 36). Ostatnie sceny filmu niezmiennie wbijają mnie w fotel: brutalne polowanie na dzikie konie, trzej mężczyźni chcą okiełznać szarpiącego się rumaka. Rozpacz na twarzy Roslyn/Marilyn. To koniec złudzeń. Koniec romantycznego mitu. Koniec Marilyn – aktorki. To był jej ostatni film. Ale dopiero początek polowania na gwiazdę.

już w II wieku naszej ery. Nie wierzycie? Przeczytajcie artykuł Olafa Szewczyka

- 34 Też pytanie! Odpowiada Urszula Dąbrowska

- 35 Korzystaj, z czego tylko chcesz...

## KONIEC Z KULTURĄ

- 36 Prawda jest taka, że ten tekst nas wzruszył. I Sendeckiego, i Wakara, i Witka nawet. Twardzieli rozmiękczyła Marilyn Monroe. A właściwie Małgorzata Sadowska, która o niej napisała

- 40 O fenomenie Tadeusza Różewicza pisze Tadeusz Nyczek

- 43 Nowego „Wiedźmina” testował Olaf Szewczyk. Bardzo wczuł się w rolę

- 44 Lektura: Marek Zając rozmawia z Ireną Grudzińską-Gross o przekraczaniu granic w badaniu historii

## OTWÓRZ OCZY

- 48 ROA – nowa gwiazda street artu

## RECENZJE

- 54 Film: Sadowska o „Peryferiach”
- 55 Muzyka: Herma o płytach trzech triów
- 56 Teatr: Drewniak o tym, co siedzi w głowach Strzep-Demu
- 57 Książki: Wakar o listach Mrożka i Axera
- 58 Komiks: Frąckiewicz o bajkach dla dorosłych

## PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI:  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88,  
www.przekroj.pl,  
e-mail: redakcja@przekroj.pl  
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:  
Katarzyna Janowska  
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
SEKRETARZE REDAKCJI:  
Magda Gedziorowska, Piotr Witek  
SEKRETARIAT:  
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33

PRZED WSZYSTKIM:  
wydarzenia@przekroj.pl,  
Paweł Wieczorek (szef),  
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),  
Agnieszka Fiedorowicz,  
Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński,  
Anna Szulc, Donat Szyller,  
Małgorzata Świąchowicz,  
Joanna Woźniczko-Czeczott;  
stałe współpracują: Agata Jankowska,  
Marcelina Szumer

CYWILIZACJA OD ŚRODKA:  
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski  
(szef), Milena Rachid Chehab,  
Olaf Szewczyk; stałe współpracują:  
Irena Cieślińska, Urszula Dąbrowska,  
Piotr Kossobudzki

KONIEC Z KULTURĄ:  
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),  
Marcin Sendek (zastępca szefa),  
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,  
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;  
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,  
Łukasz Drewniak, Sebastian  
Frąckiewicz, Mariusz Herma, Anna  
Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki,  
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:  
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;  
stałe współpracują: Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:  
Władysław Buchner (wicedyr. art.),  
Agnieszka Kwiatkowska,  
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

FOTODYKTAJ:  
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),  
Marek Szczepański; stałe współpracują:  
Anna Bajorek

KOREKTA:  
Dorota Dul, Tatiana Hardej

PROJEKT GRAFICZNY:  
Kasper Skirgajło-Krajewski

STRONA INTERNETOWA:  
Marcin Cichoński

ARCHIWUM: Dominika Bok  
OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE  
DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski



Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:  
Grzegorz Hajdarowicz

PREZES WYDAWNICTWA:  
Jan Godłowski

DYREKTOR WYDAWNICTWA:  
Sławomir Mokrzycki

DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:  
Artur Rumianek

PROMOCJA I MARKETING:  
promocja@przekroj.pl,  
Agata Stremiecka (szef),  
Jakub Maszkowski

BIURO REKLAMY:  
reklama@przekroj.pl, Grzegorz  
Makowski, p.o. dyrektora biura  
reklamy, 695 414 905, Małgorzata  
Skorupa 601 432 821, Beata  
Drogowska 785 855 883, Agnieszka  
Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smolek  
501 227 979, Eliza Zyromska  
785 855 886

DYREKTOR DYSTRYBUCJI:  
Elżbieta Maciążek

DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 9 Kroniki popkultury Orbitowskiego
- 60 Rozmaitości z krzyżówką i jolką, Obyczajówką Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewiczza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 64 Dziennik Jerzego Pilcha
- 65 Stopklatka
- 3, 25, 66 Raczkowski



Ilustracja na okładce na podstawie zdjęcia Michael Ochs Archives/Getty dzięki uprzejmości Wydawnictwa Literackiego

## PRENUMERATA

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 a, 00-695 Warszawa, Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 166,40 zł, półrocznej – 83,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69. Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl



vistula.pl

VISTULA  
the men's world



## ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

KATARZYNA JANOWSKA  
REDAKTOR NACZELNA

# Rok niebezpiecznego życia

**W** listopadzie w prezencie urodzinowym od najbliższych przyjaciół dostałam oprawioną w twardą okładkę zszywkę numerów „Przekroju” z 1945 roku.

Wiedzieli, że nic nie ucieszy mnie bardziej, ponieważ od ponad roku nie mówiłam i nie myślałam o niczym innym niż „Przekrój”.

Numerzy od września do grudnia. Od okładki z piękną przodowniczką pracy po okładkę z Matką Boską pochylającą się nad Dzieciątkiem. Zanurzyłam się w lekturze. Prószyński z Samarkandy, Miry Zimińskiej wywiad z samą sobą, wiersze Iwaskiewicza, Tuwima, Przybosa, czarno-białe rysunki modnych sukienek, gdzieś tam dyskretna reklama, a na niej miło uśmiechająca się pani. Obok napis: „Florina, krem ogórkowy, wybiela i udelikatnia cerę. Żądać wszędzie”. Nie mogłam się oderwać.

•••

Moja zszywka „Przekroju” będzie się zaczynać od stycznia 2010 roku. Na łamach obok Raczkowskiego, Nyczka, Sendeckiego, Szulc, Sadowskiej zaczęli się pojawiać Pilch, Witkowski, Graff, Hartman, Orbitowski. Chcieliśmy być trochę w poprzek rzeczywistości, opierać się schematom myślowym, które ciągle ktoś próbuje nam wtłaczać, trzymać się w pewnej odległości od polityki. Było trudno. Rok naznaczony był katastrofą smoleńską, którą upamiętniliśmy czarną okładką. Po ostrej dyskusji na temat miejsca pochówku pary prezydenckiej rozpoczęliśmy akcję budowy Panteonu Narodowego, gdzie bez gorszących kłótni mogliby być chowani zasłużeni Polacy. Jest duża szansa, że takie miejsce w Krakowie powstanie. Z okazji 65-lecia istnienia „Przekroju” upomnieliśmy się o ulicę imienia naszego ojca założyciela Mariana Eilego. Skutecznie. W Krakowie będzie skwer jego imienia.

Wraz z Obywatelami Kultury dopominaliśmy się o jeden procent budżetu na kulturę. Sukcesu w tej sprawie jeszcze nie ma, ale ruch Obywateli Kultury stał się znaczącą siłą w Polsce, z którą obecny rząd i kolejne ekipy będą się musiały liczyć. Kultura to gałąź gospodarki, jedna z niewielu dziedzin, jeżeli nie jedyna, w której jesteśmy kreatywni i śmiało możemy konkurować z innymi. Mam nadzieję, że chociaż w niewielkim stopniu przyczyniliśmy się do tego, aby ta świadomość stała się powszechna.

•••

Moja zszywka „Przekroju” zacznie się od numeru z okładką, na której widnieje Justyna Kowalczyk, ostra zawodniczka idąca od zwycięstwa do zwycięstwa. A zamknie się, po ponad roku niebezpiecznego życia, na numerze z portretem Marilyn Monroe – ikony wszech czasów, pięknej, tajemniczej, nostalgicznej, pobudzającej wyobraźnię i tęsknotę za czymś, co było, ale i za tym, co może się wydarzyć. Zszywkę postawię na półce w krakowskim mieszkaniu obok paru książek, które szczególnie lubię.

Od następnego numeru „Przekrój” w nowej odsłonie. Wersja papierowa będzie teraz nieco szczuplejsza, ale to nie znaczy, że 66-latek kapituluje. Przeciwnie, idzie z duchem czasu. A duch przenosi się do sieci, gdzie będzie nas coraz więcej. I, jak to się mówi w mediach elektronicznych, zostaniecie Państwo z nami.



## ORBITA PRZEKROJU

JAN HARTMAN

# Gwiazdny czas

**A**ch, ciągle ten Platon z Arystotelesem. Porobiłoby się coś innego. Może by tak poużerać się trochę w polityce? Przynajmniej jakaś odmiana. Tak mi się jakoś marzy, i to coraz częściej. No bo ile można być filozofem? Każdy z nas miewa takie myśli. Być gdzie indziej, coś zmienić. Pragnienie odmiany, rozpoczęcia wszystkiego od nowa jest paroksyzmem nadziei i woli życia. Nawet jeśli to dotychczasowe nie jest takie złe. Ludzie zmieniają pracę, a nawet zawód, nie tylko dlatego, że za mało zarabiają, ale też z pragnienia odmiany. Nawet jeśli tłumaczą sobie te rewolucje bardzo praktycznymi względami, gdzieś tam zza kulis nieświadomości sączy się w ich umysły pragnienie Nowego Życia, a więc nieśmiertelności. Czy to złe? Ależ skąd, bardzo dobrze! Jednak rewolucja ma swoją cenę. Zmiana zawodu, zmiana pracy, wyjazd za granicę, nowy związek – to są decyzje tyleż ryzykowne, co psychologicznie kosztowne. Gdy rozpocynam nowe życie, nigdy nie tak wspaniałe, jak to sobie wyobrażałam, zrywam ze starym. I nawet jeśli to stare było nędzne, to przecież moje. Zmieniając w swym życiu wszystko, by zacząć żyć od nowa, widzę jakby własną śmierć. Nie ma mnie już – w tamtej pracy, w tamtym związku, w kraju. I co? I nic. Nie stało się nic wielkiego, ktoś mnie zastąpił i życie potoczyło się dalej. Zupełnie jak po śmierci. Można sobie popatrzeć, jak to będzie, gdy umrzemy naprawdę. Niewielki kram. Niestety. Zmiana, czy chcemy, czy nie, jest jakąś porażką. Jakąś zdradą, i to zdradą samego siebie. Niewierni sobie samym raz musimy liczyć się z tym, że akt zmiany-zdrady jeszcze się powtórzy. A skoro w pogoni za własnym szczęściem sami sobie nie potrafimy być wierni, to czegoż możemy spodziewać się od innych? Rewolucja poczyna się z paroksyzmu nadziei, lecz przynosi gorzyc zwątpienia.

Płynne jest nasze życie. Wiele w nim zmian i wiele niespodzianek. Monotonny bywa trud zmieniania wszystkiego. Męczący jest sukces, a spokojne szczęście bywa nudne. Dobrze, że przynajmniej wolno nam umrzeć. Jednak ci najmądrzejsi spośród nas, którzy dowiedli, że nie tylko umrzeć warto, lecz i żyć, zawsze wierzyli w Wielką Przemianę i wielki po temu Czas. Jeden z nich, Jacek Kuroń, nazywał to „gwiazdny czasem”. Oto przychodzi taki moment w życiu, jeden jedyny, gdy trzeba się odważyć. Teraz albo nigdy! Życzę wszystkim, aby poczuli ten zew i go usłuchali. Wtedy nie zmienia się zawodu, pracy, kraju ani męża. Wtedy zmienia się samą i samego siebie. Na lepsze.

• Autor jest profesorem filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego

Od 24 marca „Przekrój”  
to więcej niż tygodnik.  
Sprawdź! [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)  
i App Store



rys. MAREK RACZKOWSKI

6 x więcej





## Kulturalnie polecamy



Oto jedna z atrakcji wystawy „Na wysokiej połoninie” w Muzeum Narodowym w Krakowie: LEONA WYCZÓLKOWSKIEGO „CERKIEW W JAMNEJ” (1910)

### WTOREK 22 MARCA

#### Z połoniny do muzeum

Pastele Wyczółkowskiego, szkice Axentowicza, grafiki Skoczylasa – dzieł inspirowanych Huculszczyzną nie da się zliczyć. Wystawa „Na wysokiej połoninie” opowiada o sztuce z tego regionu. Ekspozycja przypomina kulturę i tradycję Huculów, a także zafascynowane nimi osoby. Choćby Stanisława Vincenza zwanego „Homerem Huculszczyzny”. Wystawa wzięła tytuł od powieści pisarza, a w 2011 roku przypada 40. rocznica jego śmierci.

Kraków, do 29 maja, Muzeum Narodowe

#### Plakatowa rzeczywistość

„Polityka jest jak pogoda, trzeba z tym żyć” – mawiał Henryk Tomaszewski, mistrz polskiego plakatu, który posługując się satyrycznym rysunkiem, otrduwał codzienność. „Retrospektywa” to okazja, by zobaczyć jego legendarne prace.

Katowice, do 10 kwietnia, galeria Rondo Sztuki

### ŚRODA 23 MARCA

#### Europejska stolica tortur

„Moja żona nie widziała większości zrealizowanych przeze mnie filmów, a gdy gram na klarne-

tiud i animacji autorstwa teoretyków filmu... Kytujcie, ile wlezie.

**Łódź, do 27 marca,** kino Cytryna, więcej na [www.kameraakcja.com](http://www.kameraakcja.com)

#### Wiosenne ożywienie

„Laboratorium Live” to cykl wydarzeń, które mają uczcić zakończoną rewitalizację budynku Laboratorium CSW Zamek Ujazdowski. Na początek koncert jubileuszowy Pawła Mykietyna „Czterdziestka”. Niedługo potem projekt „Unknown” (skupiający się na tańcu z elementami interakcji z widzem) i *artists-in-residence laboratory* (spotkania z udziałem artystów, którzy obecnie mieszkają i pracują jako rezydenci w CSW). W poniedziałek 28 marca Małe Instrumenty zagrają Chopina na kilkudziesięciu zabawkach Toy Piano.

**Warszawa, do 31 marca,** Laboratorium CSW Zamek Ujazdowski, więcej na [www.csw.art.pl](http://www.csw.art.pl)

#### Kapuściana wróżka

Długa droga prowadziła od pierwszego filmu zrealizowanego przez kobietę („Kapuściana wróżka” Alice Guy-Blaché z 1896 roku) do rzeczywistego udziału kobiet w produkcji filmowej. Podczas spotkania „Polskie kino kobiecie” zobaczymy prace artystek, które urodziły się tuż przed początkiem drugiej fali feminizmu lub w czasie jej trwania. Będą najnowsze dzieła Marty Deskur, Aleksandry Ska i Bogny Burskiej oraz wideo Anny Baumgart, Barbary Konopki i Aleksandry Polisiewicz. Z niektórymi z nich będziecie mogli się spotkać!

**Gdańsk, CSW Łażnia,** godzina 19

### PIĄTEK 25 MARCA

#### Frankońskie rozkosze

Nawiązując do Nowej Fali w kinie francuskim lat 60. i stylizacji bossa novy, formacja Nouvelle Vague odniosła oszałamiający sukces, grając cover... głównie angielskich hitów. Podczas polskich występów (warszawski w ramach Francophonie Festival) zaprezentuje materiał z ostatniej płyty „Couleurs sur Paris” w całości zainspirowanej francuskimi piosenkami z lat 70. i 80.

**Warszawa, 24 marca,** Palladium, godzina 20  
**Wrocław, 25 marca,** Eter, godzina 19

### SOBOTA 26 MARCA

#### Spróbuj zatańczyć

Los Angeles w Gdańsku? Tak, za sprawą imprezy pod hasłem „LA – Gdańsk Coast2Coast”. Usłyszyście Take'a oraz Free the Robots. Ten pierwszy (naprawdę nazywa się Sweatson Klank) to nowatorski producent znany z łączenia elektroniki, awangardy, hip hopu i popu. Drugi (Chris Alfaro) dorzuca do tej mieszanki jazz i ogromne doświadczenie didżejskie. Spróbujcie do tego tańczyć!

**Gdańsk, Klub Żak,** godzina 21

### NIEDZIELA 27 MARCA

#### Interpretacje w akcji

13. Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserkiej „Interpretacje” otworzy „Babel” w reżyserii Mai Kleczewskiej w kategorii przedstawienia mistrzowskiego. Równie mistrzowskie „Tango” Jerzego Jaruckiego zamknie imprezę, podczas której do konkursu o Laur Konrada stanie sześcioro młodych reżyserów: Wojciech Klemm, Radosław Rychcik, Natalia Korczakowska, Atila Keresztes, Artur Tyszkiewicz i Monika Pęcikiewicz.

**Katowice, do 3 kwietnia,** różne miejsca, więcej na [www.festiwal-interpretacje.pl](http://www.festiwal-interpretacje.pl)

#### Przemoczone baletnice?

„I przejdą deszcze” – tytuł baletu Krzysztofa Pastora do muzyki Henryka Mikołaja Góreckiego – został zainspirowany wierszem Baczyńskiego „Deszcze”. Przedstawieniu będą towarzyszyć wideoprojekcje Dominika Lejmana „To boli, nic nie czuję”, na których widać z pozoru zwykłą baletnicę... Z pozorów, bo obraz zarejestrował tancerkę zawieszoną głową w dół. Przejdą was deszcze?

**Warszawa, Teatr Wielki,** godzina 18

### PONIEDZIAŁEK 28 MARCA

#### Post z Gauguinem?

Mottem 11. Biennale Sztuki Wobec Wartości „Post Gauguin” jest tytuł słynnego obrazu tego malarza z 1898 roku – „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?”. To pytanie ma być pretekstem do podjęcia dyskusji nad sensem sztuki. Zmierza się z nim między innymi Nicole Ahland, Wojciech Cwiertniewicz, Jadwiga Sawicka, Grzegorz Sztwiertnia, Guy Vandenbranden.

**Katowice, do 8 maja,** BWA Katowice



## Na kanapie

Nagrodzony Złotym Globem „Carlos” to odważna filmowa biografia słynnego wenezuelskiego terrorysty Ilicha Ramíreza Sáncheza działającego pod pseudonimem Carlos. Wyreżyserowany przez Oliviera Assayas’a miniseriale jest próbą konfrontacji z mitem Szakala jako rewolucjonisty, którego idealizm niepostrzeżenie zamienia się w fanatyzm. Ki-

nową wersję „Carlosa” możecie zobaczyć już w sobotni wieczór – serial zostanie wyemitowany w maju. Ci, którzy widzieli film podczas festiwalu Era Nowe Horyzonty we Wrocławiu czy Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, wiedzą, że to pozycja obowiązkowa.

**sobota, 26 marca,** godz. 23, Canal+

W tekście „Teatr na plótnie” („Przekrój” nr 8/2011) zabrakło informacji, że pierwszą wystawę prac Tomasza Kowalskiego zorganizowała krakowska Galeria Nova, która też reprezentowała interesy malarza. Zainteresowanych przepraszamy.

## Rozdziobią nas szkielety...

### ...czyli panteon dziwolągów



LUKASZ ORBITOWSKI

Kolega ogłosił drukiem, że szajba jako element kulturotwórczy nie może zostać przeceniona. Miał rację, Rick Genest mu świadkiem. Wydawałoby się, że praca modela wymaga poświęceń, przy których żywot mnicha pustynnego wsuwającego świerszcze jawi się popołudniem sułtana. Lata bulimii, wyteżonych ćwiczeń, koniunkturalnych przyjaźni i bywania na imprezach zgranego z rytmem omdleń zaowocują, być może, udziałem w teledysku Lady GaGi, przyniosą sesję dla „Vogue Hommes” i uczynią z delikwenta muzę Nicoli Formichettiego. Dziś trzeba na skrót. Genest odrzucił konieczność wyrzeczeń, wsuwał chrupki i masło orzechowe, a jednak po splendory sięgnął, tatuując sobie swoje mikro ciało w kompletny szkielet z czaszką włącznie. Dodał też robale i wiele budujących symboli. Żona zawyla, dzieci umknęły, Genest zaś dwoi się i troi, żeby wyrwać trochę monet, nim słowa przemienie.

Co się z nim stanie? Możliwości jest sporo. Protoplasta odczłowieczania siebie Fakir Musafar ma dziś osiemdziesiątkę, trzyma się, choć z puszczaniem już gorzej. Mając lat 13, przebił sobie śrubą akurat ten organ, o który każdy facet dba w sposób szczególny. Potem przyszły tatusze, ściskanie talii do rozmiarów pięści i podwieszanie się na hakach ku chwale bóstw solarnych. Swoją twarz dobrotliwego inteligenta pokazywał w rozlicznych programach telewizyjnych, pisał, nauczał i latał po świecie z biletowanym cyrkiem.

Można też inaczej. Waga Elaine Davidson zwiększyła się o 3 kilogramy za spr-

wą niemal 500 kolczyków (192 w samej twarzy), a jeśli dorzucić sztuczny biust, może się okazać, że ta była pielęgniarka składa się z siebie w mniejszym procencie. Dziś obskakuje programy śniadaniowe, również polskie, oraz wróży z fusów, ze szklanej kuli i z kart tarota, najchętniej przedstawicielom innej mniejszości.

Lepiej powiodło się niejakiemu Enigmie (dwa tysiące tatuży plus implanty). Dziwoląg muzykuje, żeni się, rozwodzi i okazjonalnie występuje w filmach, żeby wymienić tylko „Firecracker” z Mikiem Pattonem oraz „Umbug”, czyli legendarny już odcinek „Z Archiwum X”.

Genestowi wróży los nie człowieczy, lecz tygrysi, na wzór Dennisa Avnera. Ten starzejący się facet od lat upodabnia się do swojego totemicznego zwierzęcia. Wytatuował się w stosowne paski, uniośł wargi, rozepchał policzki, wsadził wibrysy pod już spłaszczony nos, dorobił ostre zęby, pazury i tak się sobie podoba, że ogon mu sterczy niczym pal na Odrze. Prawdopodobnie jest futrzakiem samotnym, a szkoda, gdyż kobieta tygrys prowadzi salon tatużu w Arizonie i może być wolna, przynajmniej od rozwodu z Enigmą. Tymczasem biznes się kręci. Strona internetowa Dennisa składa się właściwie z oferty: jeśli ktokolwiek chciałby go do czegośkolwiek użyć, winien skontaktować się z agentem, pamiętając, że artysta musi mieć na Whiskas i za darmo nie mruczy.

Kariera przez modyfikację siebie – mimo całej swojej potworności – oznacza nową metodę walki o miejsce stojące w panteonie. Zwyczajowo popularność zdobywamy za sprawą przyrodzonych talentów, nawet Michael Jackson najpierw śpiewał i tańczył jak nikt przedtem, a dopiero potem przemienił się w białe widmo. Umiejętności te bywają średnie i wszystkim dostępne: Paris Hilton wprawiła się w oralu, a kaskaderzy z „Jackass” odpalali race z wstydlivych części ciała. Tu jednak sprawa wygląda inaczej. Ruszył konkurs na szukanie poza sobą, a wygra w nim ten, w którym pozostanie najmniej człowieka.

# Wyskocz z szuflady do roboty

Adam Małysz rzuca skoki, zanim one zrzucą go z czołowych miejsc. My, Polacy, choć go podziwiamy, nie jesteśmy jeszcze tak odważni w zmienianiu pracy. Nie skaczemy z profesji w profesję ani z miejsca na miejsce

**MALGORZATA ŚWIĘCHOWICZ**

**Z**anim podjął decyzję, przez 17 lat był w kadrze skoczków. 26 marca kończy karierę. Co dalej? Mistrz miga się od odpowiedzi. Mówi, że odpocznie, pogrzebie w ogródku, pomyśli. Wcześniej uczył się na dekarza. Do tego zawodu jednak nie wróci, choć miałby wzięcie – w 2010 roku zawodowy dyplom w tym fachu zdobyło zaledwie 22 Polaków.

– Mimo scenicznych sukcesów pilnie studiowałam, jakbym miała przeczucie, że kiedyś mi się to przyda – mówi Urszula Sipińska, piosenkarka, która w 1989 roku rzuciła estradę, wyciągnęła z szuflady dyplom architekta i otworzyła pracownię w Poznaniu. – Było ciężko. Musiałam odkurzyć podręczniki, przypomnieć sobie teorię i ćwiczyć kreślenie. Trenowałam godzinami przy desce kreślarskiej.

Prowadzenie pracowni dawało jej jednak więcej satysfakcji niż koncerty. Tak jak Markowi Kondratowi miłsze jest zakładanie sklepów z winami niż wkładanie kostiumów w teatrze.

Młode piosenkarki też już nie tylko śpiewają. Ania Dąbrowska w trakcie kariery podjęła studia z psychologii (Ważne jest, żeby nie przesypiać właściwych momentów, nie bać się iść własną drogą – mówi „Przekrojowi”). Młode pokolenie aktorów również nie ogranicza się tylko do gry. Joanna Jabłczyńska zdała egzamin na aplikację radcowską. Tomasz Ka-



1. fot. Rafał Miliach/Vive/Forum

Znani elastyczni: 1. Aktor Marek Kondrat do swoich sklepów importuje wino z 16 krajów 2. Joanna Jabłczyńska między zdjęciami filmowymi pracuje w warszawskiej kancelarii prawniczej 3. Tomasz Karolak, dziś wzięty aktor, wcześniej chciał resocjalizować innych 4. Adam Małysz po zakończeniu kariery chce zostać przy skokach narciarskich jako trener. Chyba że wciągną go rajdy samochodowe. Uwielbia napęd na cztery koła

rolak przed studiami aktorskimi studiował resocjalizację, a zanim zaczął grać, był między innymi sprzedawcą, ochroniarzem i budowlanym. Już nie jest. A na rynku zręcznych robotników jest posucha. Nie tylko w Polsce.

Jak wynika z ubiegłorocznych badań przeprowadzonych w 31 krajach przez firmę rekrutacyjną Manpower, pierwsze miejsce na liście zawodów, które najtrudniej obsadzić, okupują wykwalifikowani pracownicy fizyczni. Ciesła, elektryk, stolarz, murarz, hydraulik czy spawacz – to okazy rzadko występujące w naturze. U nas przynajmniej od trzech lat są pożądanymi. Bardziej niż menedżerowie, księgowi, inżynierowie czy nawet specjaliści z branży IT ze znajomością systemów operacyjnych oraz serwerowych (choć też są na liście po-



3. fot. Dominik Pisarek/Fotorepa

szukiwanych, można spotkać ich częściej niż spawaczy). Według Manpower co drugi polski pracodawca narzeka, że nie może znaleźć odpowiednich ludzi do pracy. Jak to możliwe w kraju, który od lat boryka się z bezrobociem?

### Rzeź rzeźników

Pracodawcy poszukują osób z kwalifikacjami i doświadczeniem. Czyli jeśli robotnik,



2. fot. Forumwiazd.com.pl



4. fot. Przemek Jendroska/AG

to znający się na robocie. Ale w ciągu ostatniej dekady liczba osób wybierających naukę w zawodówkach skurczyła się o 60 procent. W ubiegłym roku na rynek pracy trafiło między innymi tylko 8 wykwalifikowanych kadełników, 44 monterów konstrukcji budowlanych, 77 rzeźników, 94 betoniarzy zbrojarzy. Gdy mizerne grupy robotników opuszczają zawodówki, w kolejce po indeks wyższych

uczelnii ustawiało się 436 tysięcy chętnych. Ponad 35 tysięcy koniecznie chciało studiować zarządzanie, na wydziały pedagogiki pchał się 33-tysięczny tłum, a na prawo – 26 tysięcy osób marzących o tym, żeby nas kiedyś obrońić (albo skazać). – No i po co? – pyta o to pchanie się psycholog Paweł Brzeziński.

Przychodzą do niego rodziny, które się skarżą: „Z synem wszystko w porządku, tylko

uczyć się nie chce”. Gonią dzieciaka do matury, na studia, choć ten uparcie powtarza, że bycie magistrem mu wisi. Nie chce wkuwać? Straszą: „Jak się nie przyłożysz, wylądujesz na kasie w Biedronce”.

Wciąż mało komu przychodzi do głowy, że można się przyłożyć do pracy w sklepie, na budowie czy w stolarni. A można też kuć co sesję, obronić pracę magisterską, nawet zrobić doktorat, a mimo to wylądować na bezrobociu.

W Toruniu w ubiegłym roku po zasiłek przyszli politolodzy, filolodzy, biotechnolodzy, konserwator dzieł sztuki, archeolog i filozof.

W Krakowie za dużo jest psychologów, pedagogów, animatorów kultury, architektów, dziennikarzy, ekonomistów, nawet inżynierów, a brakuje fryzjerów, cukierników, brukarzy, murarzy, stolarzy, rzeźników.

W Wielkopolsce do okrawania kurczaków ściąga się już robotników z Chin.

– Za to w Chinach są rozchwytywane nianie z Polski – informuje „Przekrój” Agnieszka Kamińska, koordynator serwisu Praca.wp.pl. Nianienie małych Chińczyków jest jednak zajęciem dorywczym, dla szukających przygód studentek. Jeśli chodzi o stałą pracę w kraju, okazuje się, że czasami nie chce się dla niej pokonywać żadnych granic, choćby powiatu czy województwa. Małopolskie Obserwatorium Rynku Pracy i Edukacji wykazuje w najnowszych badaniach, jak bardzo przydałaby się nam większa mobilność.

### Dojazd? Rezygnuję

Obserwatorium donosi, że na przykład w Bochni jest za dużo położnych, natomiast brakuje ich w Wieliczce. Za to z Wieliczki do Bochni mógłby się przemieścić tamtejszy nadmiar stolarzy czy operatorów dźwigów. Z kolei psychologów, których jest aż nadto w Krakowie, chętnie przyjąłby Nowy Sącz czy Limanowa. Tam też brakuje grafików komputerowych i inżynierów elektryków, których w stolicy Małopolski jest za dużo. Niektórym jednak wydaje się chyba, że lepiej nie mieć pracy w Krakowie, niż mieć ją gdzie indziej.

Z prognoz Manpower widać, że na południu Polski nie będzie przybywać pracy tak szybko jak na zachodzie, a najlepsza sytuacja →



# Jądro ciemnoty

Miał być nuklearny renesans, a robi się nuklearne średniowiecze. Po awarii w japońskiej Fukushima niemal cały świat ogarnął paniczny strach przed atomową zagładą. Kończy się era atomu?

RAFAL KOSTRZYŃSKI

**F**ukushima I ma 40 lat, ale trzęsienie ziemi – choć rekordowo silne – nie zrobiło jej krzywdy. Nawet awaria linii wysokiego napięcia nie zaszkodziła tej elektrowni atomowej, bo natychmiast wyłączyły się rezerwowe generatory prądu, dzięki którym trzy pracujące reaktory zostały wyłączone. Gdyby na tym się skończyło, dziś nikt nie martwiłby się o przyszłość energetyki atomowej, bo po serii rutynowych kontroli elektrowni Japończycy wznowiliby produkcję prądu.

Stało się jednak coś, czego nikt nie przewidywał: po trzęsieniu ziemi przyszło gigantyczne tsunami. Masy spiętrzonej wody przelały się przez kompleks, unieruchamiając generatory prądu. Padło zasilanie i pozbawione chłodzenia rdzenie zaczęły się przegrzewać. Para w reaktorach osiągnęła taką temperaturę, że zaczął wydzielać się z niej wodór, który w połączeniu z tlenem eksplodował. Radioaktywna chmura wydostała się na zewnątrz. Co robią japońskie władze? W obawie przed niekontrolowanym wzrostem skażenia radioaktywnego nakazują ewakuację okolicznej ludności i wysyłają do elektrowni specjalistów, którzy mają opanować awarię. To są działania racjonalne i nie ma w nich paniki. Daje się ona natomiast zauważyć poza granicami Japonii.

## Atomowa historia

Im dalej od Kraju Kwitnącej Wiśni, tym większa nerwowość. Kanclerz Niemiec Angela Merkel zapowiedziała w czwartek stopniowe odchodzenie od energetyki jądrowej i jak najszybsze zastąpienie jej energią ze źródeł odnawialnych. Tym samym zmieniła swoje stanowisko o 180 stopni. Jeszcze jesienią zeszłego roku jej rząd wydłużył o 12 lat czas eksploatacji wszystkich 17 niemieckich reaktorów. – Nie można udawać, że nic się nie stało

– tak uzasadniała swoją woltę. – Gdy w Japonii niemożliwe staje się możliwe, sytuacja się zmienia.

Opozycja zaraz oskarżyła Merkel o uprawianie kampanii politycznej. W tym miesiącu odbędą się wybory lokalne w trzech landach, które mogą zakończyć się klęską jej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Ogłaszając koniec ery niemieckiego atomu, szefowa rządu zwiększa swoje szanse choćby w Badenii-Wirtembergii, gdzie stoi elektrownia jądrowa Neckarwestheim. 12 marca, a więc dzień po trzęsieniu ziemi w Japonii, jej zamknięcia domagało się 50 tysięcy ludzi.

Panika udzieliła się też innym. Szwajcaria ogłosiła wstrzymanie prac nad budową trzech elektrowni. Bułgaria rozważa rezygnację ze skonstruowania swojego reaktora. Izrael oświadczył, że prace nad dalszym rozwojem cywilnej technologii jądrowej są „mało prawdopodobne”. Chiny, które miały ambitne plany pozyskiwania w 2020 roku 80 gigawatów energii z elektrowni atomowych (osiem razy więcej niż dziś), poszły w ślady Szwajcarów. – Szkoda, że niektórzy politycy wydają zbyt pochopne opinie – podsumował to dosadnie brytyjski minister energetyki Chris Huhne.

– To jest histeria – mówi „Przekroju” profesor Ludwik Dobrzyński, dyrektor Działu Szkolenia i Doradztwa w Instytucie Problemów Jądrowych w Świerku. – W Japonii dzieją się rzeczy straszne, ale proszę zwrócić uwagę na to, że te tysiące zabitych to ofiary tsunami. Nikt nie zginął w wyniku awarii w Fukushima, wśród okolicznych mieszkańców nie ma nawet poważnych przypadków napromieniowania. Reakcja Angeli Merkel jest krótkowzroczna. Energia pozyskiwana ze źródeł odnawialnych to ciągle mrzonki. Ta technologia w ciągu najbliższych kilkunastu lat będzie



Zbudowana na początku lat 70. Fukushima I należy do największych elektrowni atomowych na świecie. Na zdjęciu: Lokalne władze kontrolują reaktor numer 1 na pół roku przed katastrofą

w stanie zaspokoić zaledwie 12 procent ich zapotrzebowania. Rzeczywistość szybko wybiła Niemcom z głowy plany rezygnacji z energetyki atomowej.

Polskie władze na razie nie poddają się tej panice. Pełnomocniczka rządu do spraw energetyki jądrowej Hanna Trojanowska zapewniła w zeszłym tygodniu, że plan budowy dwóch nowoczesnych reaktorów (w tym jednego do 2020 roku) nadal obowiązuje. – Słusznie – ocenia profesor Dobrzyński. – W 2030 roku zapotrzebowanie Polski na energię ma być o 40 procent wyższe niż dziś. Nie da się go zaspokoić bez elektrowni jądrowej.

## Fińszczyzna

Międzynarodowa organizacja ekologów Greenpeace nie podziela opinii Dobrzyńskiego. Według jej przedstawicieli polskie reaktory będą budowane na podstawie niesprawdzonych technologii. I podają przykład Olkiluoto 3 – reaktora, który miał być oszczędny i bezpieczny, ale pochłonął już prawie sześć miliardów euro zamiast trzech, a jego budowa ślimaczy się z powodu setek usterek wykrywanych co chwila przez fińskich kontrolerów.

Zbigniew Wiegner, który kierował budową Olkiluoto 3 w latach 2008–2010, przyznaje, że projekt znacznie przekroczył budżet i były opóźnienia. – To pionierskie przedsięwzięcie

działają niezależnie od siebie. Możliwość awarii jest zredukowana praktycznie do zera.

Jak wygląda ta redukcja? Reaktor zabezpieczony jest podwójną ścianą. Wewnętrzna ma wytrzymać nawet ekstremalne ciśnienie, a zewnętrzna – uderzenie jumbo jeta. – W metrze sześciennym normalnego żelbetu jest 120 kilogramów stali. W Olkiluoto 3 mieści się 600 kilogramów. To prawdziwy majstersztyk. Tak opakowany reaktor wytrzyma nawet tsunami. Jest odporny również na ludzkie błędy, bo jego pracę będą kontrolować niezależnie od siebie dwie ekipy specjalistów. A jeśli i tak nastąpi stopienie rdzenia reaktora, to jego zawartość bezpiecznie spłynie do specjalnego basenu zanurzonego w lodowatej wodzie 10 metrów pod ziemią.

Wiegner zapewnia, że kolejne reaktory tego typu (także polski) będą budowane znacznie szybciej i taniej niż ten w Finlandii czy francuski Flamanville. – Prace w chińskim Taishan idą już zgodnie z harmonogramem – dodaje.

## Czarnobyl na placu Defilad

– Energia atomowa jest zła. Jest droga, szkodzi dla środowiska i niebezpieczna – przekonuje nas tymczasem Jan Haverkamp, ekspert Greenpeace'u do spraw atomistyki. – Jest droższa od energii ze źródeł odnawialnych, wciąż nie ma bezpiecznego sposobu składowania odpadów, a do katastrofy wcale nie potrzeba trzęsienia ziemi czy tsunami.

Haverkamp podaje przykład: w lipcu 2006 roku w szwedzkiej elektrowni Forsmark tylko cudem nie doszło do tak poważnej awarii, jaka właśnie zdarzyła się w Fukushima.

Czytam szczegółową analizę tego zdarzenia. Zasilanie w elektrowni zgasło na skutek zwarcia, do którego doszło podczas konserwacji linii wysokiego napięcia gdzieś poza jej terenem. Dwa zapasowe generatory Diesla natychmiast podjęły pracę, więc chłodzenie re-

aktora nie zostało przerwane. Nie zanotowano wzrostu temperatury w rdzeniu, nie było zwiększenia promieniowania. Ani słowa o zagrożeniu poważną awarią.

– Chwała działaczom Greenpeace'u za to, że tak się troszczą o ekologię, ale w sprawie energii atomowej rozpowszechniają bzdury – irytuje się profesor Dobrzyński. – Gdyby istniały przepisy karne za ogłupianie społeczeństwa, na pewno objęłyby tę organizację. Jakie są skutki awarii w Czarnobylu, najpoważniejszej w historii atomistyki? W okolicach zniszczonego reaktora promieniowanie jest dziś mniej więcej takie jak na warszawskim placu Defilad. A co dopiero Fukushima. Skażenie wokół niej jest tak niewielkie, że nie ma sensu nawet brać go pod uwagę. Składowanie odpadów? Od kilkudziesięciu lat wiemy, jak postępować z cywilnymi odpadami. To, że trafiają one w końcu setki metrów pod ziemię, nie jest żadnym powodem do niepokoju. Są zamknięte w specjalnych pojemnikach i nawet gdyby taki pojemnik się rozszedlnił, to zanim promieniotwórcze izotopy dotrą na powierzchnię, ulegną rozpadowi. Mamy w Polsce jedno takie składowisko – w Różanie. Mieszkańcy tej gminy należą do najzdrowszych w kraju. Nie wiem więc, czemu Greenpeace potęguje u ludzi strach.

Robi to skutecznie. Zaraz po japońskiej awarii w Szwecji, USA, Chinach i Rosji dramatycznie wzrósł popyt na tabletki z jodkiem potasu zapobiegające napromieniowaniu radioaktywnym izotopem jodu. Wzrósł, choć wszędzie media trąbią, że nawet na terenie zalanej tsunami elektrowni poziom radiacji nie zagraża życiu. A co dopiero w odległości 10 tysięcy kilometrów od niej. Ta histeria jest równie nieuzasadniona jak decyzja kanclerz Merkel o rezygnacji z energii atomowej – bo katastrofalne trzęsienie ziemi w Europie przecież nie grozi, nie mówiąc już o fali tsunami.

REKLAMA

www.mieszkaniowy.as



# Cud w niepamięci

Wszyscy chcieliby już o niej zapomnieć i mieć święty spokój. Ale nieugięta, pyskata matka bliźniaczek rozdzielonych w Arabii Saudyjskiej nie podda się tak łatwo

MALGORZATA ŚWIĘCHOWICZ

Nie będę już nikogo kryć – mówi Wiesława Dąbrowska z Janikowa. Dotąd kryła też swoje rozczarowanie, które rosło od 22 marca 2005 roku. Tamtego dnia z córkami Darią i Olgą wróciła do Polski ze szpitala w Rijadzie i spodziewała się, że tu będzie tak jak tam – każdy życzliwy, starający się, żeby dziewczynkom pomóc. Córki tuż po przylocie do Polski wystąpiły w arabskich szatach i cekinach. Od razu, na lotnisku, konferencja prasowa. Brawa, radość, kwiaty. Toż to wielkie szczęście: syjamskie bliźniaczki złączone ze sobą w sposób tak skomplikowany, że w Polsce nikt nie miał odwagi ich rozdzielić, w Arabii Saudyjskiej zostały udanie zoperowane. Sam następca tronu (a teraz już król) Jego Wysokość Abdullah bin Abdulaziz Al Saud przyłożył do tego swą pełną majestatu i pieniędzy dłoń. Żeby tak na operację małych, biednych, polskich dziewczynek ktoś lekką ręką wydał półtora miliona dolarów, to rzecz wcześniej niespotykana. Wręcz cud. A my, nad Wisłą, lubimy cuda. Szkoda tylko, że szybko nam się nudzą. Dąbrowska też jedynie przez chwilę wzruszała Polaków swoją walecznością. Teraz już nikogo nie interesuje jej bezsilne domaganie się tego, co dla dzieci niezbędne.

– Każdy opęda się ode mnie, jak może. „Co tam znowu?” – pytają. Trzeba dzieci zawieźć do szpitala, bo potrzebna jest operacja korekcyjna stopy? Rehabilitacja? Operacja zamknięcia odbytów? Leukocyty skoczyły? Jelito się wysunęło? Mocz się w nerce zatrzymał? Gdy coś się z dziećmi dzieje i mam gdzieś dzwonić, prosić, choćby o transport, to zaraz jestem chora.

Dąbrowska sama dzieci nigdzie nie podwiezie, bo nie ma samochodu i raczej się go nie dorobi – dochodu ma dwa tysiące złotych, licząc z zasiłkiem pielęgnacyjnym i alimentami, z tego część wydaje na leki i prywatne wizyty u lekarzy. Opowiada: – Kiedy ktoś mi mówi:



Dziś różnią się nawet zamiatowaniem do kolorów – Daria lubi niebieski, a Olga różowy

proszę leczyć dzieci w ramach NFZ, to mu zaraz pyskuje, żeby sam się tak leczył.

Dzwoni więc gdzieś stale w sprawie dofinansowania, choćby tylko rehabilitacji. – Czuję, że każdy chętnie by się mnie pozbył, rozłączył, już im dojadły te moje kłopoty, prośby, telefonów – tłumaczy.

– Twardy zawodnik – ocenia Wiesię Dąbrowską jej kuzyn Robert Kasznia. Wierzy, że tacy twardziele jak ona nigdy się nie poddają. Ale on mieszka w Bydgoszczy, ona w Janikowie pod Inowrocławiem i nie codziennie się widują. Kasznia nie widzi więc, jak często i na jakie próby wystawiana jest ta harda kobieta. Chyba zaczyna w niej coś pękać.

## W głowie przewracane

Dąbrowska ma 43 lata, z zawodu jest krawcową. Z musu – samotną matką. Z miłości – pielęgniarką swych dzieci.

Rano pobudka, mycie dziewczynek, cewnikowanie, pieluchy (żeby mogły wyjść z pieluch, trzeba specjalnymi masażami stymulować mięśnie odbytu, a postępy nie idą tak szybko, jak by się chciało). Śniadanie, sprawdzenie, czy każda ma w plecaku, co trzeba. Daria lubi kolor niebieski, więc wszystko ma niebieskie – począwszy od gumek do włosów. Olga z kolei jest od stóp do głów różowa. Przed 8 Dąbrowska pogania swoją różową i niebieską dziewczynkę – czas do szkoły. One przodem, ona za nimi z dwoma plecakami (dziewczynki mają zbyt połatane kręgosłupy, żeby cokolwiek dźwigać).

Gdy 8 października 2003 roku przyszły na świat, miały częściowo wspólny kręgosłup. Wspólne były też miednica, układ moczowo-płciowy i odbyt. Dąbrowska kupowała dwie pary jednakowych śpiochów, rozpruwała na plecach, łączyła boki rzepami, więc dziewczynki miały w ten sposób wspólne ubranie. A mimo to już od urodzenia nie

miały wspólnych upodobań. Teraz potrafią iść do szkoły każdą inną stroną ulicy.

Dąbrowska odprowadza je pod klasę (w ławce nie siedzą razem – Olga koło Jasia, Daria z Tadzikiem). Od pierwszego dzwonka na lekcje Dąbrowska ma dla siebie mniej więcej dwie godziny. Potem wpada do szkoły, idzie z dziewczynkami do toalety, bo trzeba sprawdzić, co z pieluchami.

Lekarze z Rijadu prosili, żeby co trzy miesiące robiła dzieciom kompleksowe badania i przysyłała wyniki, bo oni chcą trzymać rękę na pulsie i kontrolować rozwój dziewczynek. Oczywiście od razu zaczęła zawałać



W janikowskim centrum promocji dialogu nie prowadzi się dialogów po arabsku

terminy, bo wiadomo – u nas na zwykłe USG czeka się w kolejce, o rezonansie nie wspominając. – Oni w Arabii już by chcieli wiedzieć, jak wypadły badania, a ja od grudnia tkwię w kolejce. Zresztą za cokolwiek by się chwycić, to kłopot – wyczerpane limity – wzdycha Dąbrowska.

Ci z Rijadu co jakiś czas uprzejmie o sobie przypominają. Ale co ona może zrobić poza nękaniami w sprawie przyspieszenia terminów? Z kolei gdy nęka, słyszy, że jest rozszczeniowa. Inni przecież czekają i jest dobrze. Niech ona też czeka, czyżby była ulepiona z innej gliny? W ubiegłym roku jakiś miły pan z Arabii, który gościł akurat w Polsce, specjal-

nie pofatygował się do Dąbrowskiej, by zapytać, czy wszystko w porządku, bo oni tam, w Rijadzie, się martwią. – Zaczął tak ładnie, że mieszkańcy Arabii nas pozdrawiają i są ciekawi, co słyhać – opowiada Dąbrowska. – Oczywiście nie powiedziałam złego słowa, bo niezręcznie jest takie rzeczy puszczać w świat.

Nie wspomniała więc o tym, że jednego roku córki miały tylko 12 dni rehabilitacji, później co prawda gmina się szarpnęła i ufundowała zabiegi, ale to był – dokładnie licząc – miesiąc, od 30 marca do 27 kwietnia 2009 roku.

Więc ona puka do drzwi fundacji i gdzie tylko może, żeby wydobyć środki na zabiegi. Gołym okiem widać, że dziewczynki powinny być rehabilitowane, bo wciąż krzywo stawiają nóżki – u każdej jedna jest dwa razy cieńsza od drugiej, do tego mają stopy jeszcze dobrze nieuformowane (są już po operacjach, ale jeszcze dalekie od ideału). Obie muszą mieć wykonaną operacyjną korektę pośladków, ale na razie lepiej poczekać, aż dziewczynki się wzmocnią, nabiorą ciała.

Dąbrowska nie żaliła się nadmiernie miłemu panu z Arabii ani też nie napomknęła o tym, że wysyłała listy do najwyższych urzędników w naszym kraju, także do Rzecznika Praw Dziecka i Kancelarii Prezydenta (za czasów świętej pamięci Lecha Kaczyńskiego), aby zwrócić uwagę na braki w rehabilitacji cudem uratowanych dziewczynek. A szczególnie musiała się gryźć w język, żeby troskliwemu Saudyjczykowi nie zdradzić tego, jak niemiłe odpowiedzi dostawała z urzędów. Łącznie z sugestią, że powinna leczyć, ale już nie tyle dzieci, ile siebie, na głowę. Bo w głowie ma przewracane, skoro nie chce cierpliwie czekać na kolejne skierowania i zabiegi kontraktowane przez NFZ, tylko jej się – głupiej – wydaje, że wszystko dla niej powinno być na kiwnięcie palcem. Naiwna jest pod tym względem. Zakładała, że skoro Polska powierzyła

REKLAMA

Bank dla biznesu\*  
czy biznes dla banku\*?

\*niepotrzebne skreślić

www.bosbankdlafirm.pl

BOS  
BANK

→ swoje dwie obywatelki lekarzom z Arabii Saudyjskiej, powinna przyjąć nie tylko ten ładny gest sfinansowania i przeprowadzenia skomplikowanej operacji, ale też przynajmniej przyjąć wskazówki co do dalszej opieki nad dziećmi. A tamtejsi lekarze – widać nieorientowani w polskich realiach – wskazali konieczność „zapewnienia stałego programu rehabilitacji w warunkach domowych przez odpowiednio przeszkolony personel medyczny”.

### Celem zaakcentowania

Rodzinne Janikowo bliźniaczek w województwie kujawsko-pomorskim to kombinat sodowy i 10 tysięcy mieszkańców. Wiodą do niego drogi tak dziurawe, że każdy powinien się gorąco modlić, aby nie chciał się nimi fatygować jedyny honorowy obywatel, jakiego ma to miasteczko, czyli Strażnik Dwóch Świętych Meczetów, król Arabii Saudyjskiej Abdullah bin Abdulaziz Al Saud. Po udanej operacji rozdzielenia bliźniaczek janikowscy radni tak byli uszczęśliwieni hojnością Jego Wysokości, że przyznali honorowe obywatelstwo „celem zaakcentowania wdzięczności i zapoczątkowania nowej tradycji”.

Później, celem jeszcze większego zaakcentowania, powstało w Janikowie Międzynarodowe Centrum Promocji Dialogu, w którym wdzięczne królowi janikowskie pacholeta miały uczyć się arabskiego i otwierać na nieznaną świat. Z tej okazji z Arabii Saudyjskiej raz wpłynęło na gminne konto 300 tysięcy dolarów, później jeszcze raz tyle samo. Za co udało się bardzo pięknie wyremontować budynek starej szkoły i wyposażać sale w najnowocześniejszy sprzęt do nauki języków obcych. Było uroczyste otwarcie i odsłonięcie tablicy z imieniem hojnego króla (w trzech językach: polskim, arabskim i angielskim), ale dobrze, że król tego nie widział, bo gdyby miał jednak wybrać się do Janikowa, to chyba jedynie drogą powietrzną (ale w Janikowie nie ma lotniska). Absolutnie nie można byłoby polecić wyprawy w te rejony samochodem (ze względu na wspomniane dziury, na które burmistrz Janikowa Andrzej Brzeziński ogólnie nic nie może poradzić, bo to drogi powiatowe). Nie dałoby się też Jego Wysokości dowieźć tu pociągiem (pospieszne w Janikowie się nie zatrzymują), zresztą tutejszy dworzec jest absolutnie nie do przyjęcia – sypiąca się rudera zasmarowana graffiti. Trzeba byłoby to zasłonić, gdyby król mimo tych wszystkich przeszkód zechciał odwiedzić stojące na wprost dworca centrum jego imienia i zobaczyć, czy tutejsze dzieci robią postępy



Dziewczynki zostały rozdzielone sześć lat temu w Rijadzie, w Szpitalu Księcia Abdullaha

w nauce arabskiego. Uprzedzamy Króla: nie robią. – Nie było chętnych – tłumaczy „Przekrojowi” wiceburmistrz Jacek Duma.

Trzeba przyznać, że zainteresowanie Arabią raczej wśród ludności wygasa, podobnie jak zainteresowanie bliźniaczkami. Jeśli chodzi o języki, to w Janikowie wzięcie mają te mniej egzotyczne – angielski, niemiecki. Arabski – jak sobie tu żartują – może miałby powodzenie, gdyby za wkuwanie tych trudnych słówek ktoś dobrze zapłacił.

### Rozmowy z Bogiem i lekarzami

13. Trzeba iść do szkoły po dziewczynki. Dąbrowska znów dźwiga tornistry, dziewczyn-

*Dąbrowska chudła z wysiłku i nerwów. Ojciec dzieci też schudł. I odszedł, bo takie szarpanie się było ponad jego siły. W szpitalach zawsze była z dziewczynkami sama, ojciec nie robił sobie fatygi*

ki ponownie się rozchodzą – Olga idzie jedną stroną ulicy, Daria drugą.

Zanim zostały operacyjnie rozłączone, tworzyły jedno, ale jednak niespokojne ciało – gdy jedna chciała się bawić, drugiej akurat chciało się spać. Jedna ciągnęła drugą w swoją stronę, w końcu obie się przewracały. Gdy skończy-

ły rok, ważyły razem 20 kilogramów. Coraz trudniej było wsadzać je do wanny, wózka czy łóżka.

Dąbrowska chudła z wysiłku i nerwów. Ojciec dzieci, mechanik samochodowy, też zgubił 15 kilogramów. Tyle że ona chudła, ale nieustająco była przy dzieciach, a on schudł i odszedł, bo takie szarpanie się było ponad jego siły. W szpitalach zawsze była z dziećmi sama, ojciec nie robił sobie fatygi.

Później pokazywał się w telewizji rozmolony.

Gdy on skupiał się na rozmowach z Bogiem, ona zajmowała się rozmowami z lekarzami.

Niewielu lekarzy – poza arabskimi – ją jeszcze znosi. – Nie mogę patrzeć, jak tu ktoś na przykład robi córce USG i mówi zdziwiony: „Hm, nie mogę znaleźć drugiej nerki”. „Bo jej nie ma” – odpowiada Dąbrowska, ale krew ją zalewa: czy to takie trudne po-grzebać w dokumentacji medycznej?

– A oni, mam wrażenie, zaraz by chcieli grzebać w dzieciach. Oglądają, pukają. I jeszcze by chcieli studentom pokazać, bo to rzadkość przecież. Nie pozwałam robić z dzieci królików doświadczalnych, krzyczę – Dąbrowska, kiedy tylko o tym wspomina, podnosi głos. Gdy w Polsce trafia z bliźniaczkami na oddział (a dotąd trafiała z powodu różnych ich dolegliwości na różne oddziały), chciałaby, żeby było jak w Rijadzie: miło, z kompleksowym wyjaśnieniem, co się z dziećmi dzieje, jaki zabieg trzeba będzie wykonać. – Potrafię być wredna – przyznaje. – Jeśli badania są przeciągane, dzieci traktuje się w szpitalu jak zło konieczne, nie mogę siedzieć cicho. Inni rodzice tkwią

wystraszeni przy dziecięcych łóżeczkach, zbywani, znoszący burczenie personelu. Ona zaraz przypomina sobie szpital w Arabii Saudyjskiej, w którym traktowało się ją, krawcową z Janikowa, jak człowieka. A dzieci? Tam dzieci się rozpieszczęło.

Burmistrz Janikowa, który początkowo widział, że panią Wiesię pobyt w Rijadzie pozytywnie odmienił, teraz już tego wrażenia nie ma. Może tam wraz z dziećmi za bardzo była rozpieszczona i teraz z kolei czuje się niedopieszczona. Wiceburmistrz zwraca uwagę na proporcje: Janikowo to jednak nie Rijad, nie ma pieniędzy. Choć i tak, zważywszy na możliwości, daje pani Dąbrowskiej więcej, niż gdyby była – dajmy na to – matką dziecka z zespołem Downa. Są tu takie matki i one mogą patrzeć na panią Wiesię z zazdrością. Zaraz, jak tylko wróciła z dziewczynkami z Arabii Saudyjskiej, dostała od gminy mieszkanie, za które nie musi płacić czynszu. A teraz jeszcze dziewczynki dostają obiady w szkole (choć formalnie obiady mogłyby się nie należeć, zważywszy na dochód sięgający aż dwóch tysięcy złotych).

### W dobrym kierunku

Gdy latem 2007 roku na fali wielkiej euforii po operacji bliźniaczek (zwanych „małymi ambasadorkami Polski”) król Abdullah bin Abdulaziz Al Saud przybył do naszego kraju (na spotkanie została zaproszona pani Wiesia z dziewczynkami), była to wizyta pod każdym względem królewska. Prezydent Lech Kaczyński wręczył Jego Wysokości Order Orła Białego, a w zamian odebrał Kohnierz Króla Abdulaziza. W ten sposób bardzo ładnie została zaakcentowana wdzięczność za sfinansowanie trudnej operacji, co oficjalnie nazwano uznaniem „znamienitych zasług dla rozwoju przyjaznych stosunków”.

A rozwój, odkąd janikowskie dziewczynki rozdzielono, transmitując wszystko na całą Arabię Saudyjską, nastąpił wyraźny. Widać to w gospodarce. Eksport w tamtym kierunku skoczył z niespełna 67 milionów dolarów rocznie (sprzed ope-

racji) do 161 milionów (patrzac na 2009 rok, bo ubiegłorocznych korzyści handlowych GUS jeszcze nie podliczył). Wysyłamy do Arabii Saudyjskiej – w większych ilościach niż wcześniej – mleko, sery, twaróg, pierniczki, szminki, pudry, torebki, kufrы, nawet papier toaletowy. Od Saudyjczyków z kolei bierzemy na przykład produkty farmaceutyczne, farby, tworzywa sztuczne – odnotowującym samym nie tylko wzrost eksportu, ale i importu. Aby tak miło odbywająca się wymiana nie wygasła – jak nie przymierzając zainteresowanie nauką arabskiego w Janikowie czy też zainteresowanie bliźniaczkami – do Arabii lecą co jakiś czas politycy i biznesmeni. Z szansy odbicia praktyk w szpitalu, w którym operowano bliźniaczki, ochoczo korzystają też lekarze.

Pani Wiesia na ogół czuje, kiedy ktoś chce się tam wybrać, bo rośnie wówczas zainteresowanie jej dziećmi – ktoś na przykład wpada i prosi, żeby dzieci szybko coś narysowały. Coś ekstra, dla króla – na przykład janikowskie centrum dialogu. Dąbrowska już sobie wtedy wyobraża, jak się to tam na miejscu odbędzie: ktoś wyciągnie ten dowód na utrzymywanie kontaktów

z dziewczynkami i będzie zapewniać, że wdzięczność narodu polskiego za cudowne rozdzielenie dziewczynek jest nieustająca, obie mają się dobrze, mama również. Każdy tu na nie chucha, dmucha i wszystko jest pod kontrolą.

Przewrót  
stronę...

# Najdroższa mała czarna

Świat w kryzysie, a tej się powodzi. Kawa jest w życiowej formie, a jej cena zaraz pobije swój rekord wszech czasów. Drzyjcie, kawosze!

JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT

**K**opi luwak? To najgorsza inwestycja w moim życiu! – wykrzykuje Jasmin Soljanin. – Za 4 worki zapłaciłem taką sumę, jaką dałbym za 15 worków naprawdę porządnej kawy. Tylko że tę tańszą już dawno bym sprzedał.

Bo kopi luwak to najdroższa kawa na świecie. Soljanin w swojej kawiarni Singidunum na warszawskim Ursynowie sprzedaje ją po dwa i pół tysiąca złotych za kilogram. To oznacza, że najmniejszą torebkę można kupić już za 125 złotych. Filiżankę zaparzonej – za 75. W Polsce kopi luwak serwuje tylko kilka lokali.

Cena ma swoje uzasadnienie: kopi luwak przyrządza się z ziaren uprzednio zjedzonych i przetrawionych przez łaskuna muzanga, zwierzątko podobne do lisa zamieszkujące indonezyjskie wyspy. Łaskuna nazywa się też cywetą lub luwakiem. – Przez fermentację w jego żołądku z ziaren wydobywa się czekoladowy posmak – rozmarza się Soljanin. – Raz w życiu trzeba sobie pozwolić skosztować tej kawy. Inne rodzaje, nawet te uznane za najlepsze na świecie, nie smakują według mnie aż tak wyjątkowo.

No cóż, kawa kopi luwak może i ma prawo być droga. Biedny łaskun musi przecież tych ziaren się nażreć, potem je przetrawić i wydalic. A hodowca musi je wygrzebać, oporządzić i dopiero potem poddać dalszej obróbce.

Sęk w tym, że ceny innych rodzajów kawy na całym świecie też biją rekordy. I gonią cenę kopi luwak. Arabica, robusta – obie idą w górę. Na Nowojorskiej Giełdzie Kawy i Cukru kontrakty terminowe na kawę są w trendzie zwykłym nieprzerwanie od 2002 roku. Ich ceny są obecnie najwyższe od 14 lat i zbliżają się do rekordu wszech czasów.

Co się dzieje z małą czarną? Gdy smakujemy espresso, pamiętajmy, że kawa to specyficzny rynek, którym od dekad bynajmniej nie rządzą prawa rynku. Rządzi nim zmowa.

## Zmowa kawowa

Wystarczy rzut oka na listy największych producentów i konsumentów kawy, żeby wycią-



FOT. Russell Gordon/EK Pictures

gnąć prosty wniosek: kawa to napój produkowany przez biednych, a pity przez bogatych. Najwięcej ziaren zbiera się w Brazylii, Wietnamie, Kolumbii, Indonezji, Meksyku, Indiach, Etiopii, Gwatemali, Hondurasie i Peru. Najwięcej filiżanek zaś wypija się w Finlandii, Norwegii, Islandii, Danii, Holandii, Szwecji, Szwajcarii, Belgii, Luksemburgu i na Arubie, która jest holenderską wyspą na Morzu Karaibskim. Zamożni mieszkańcy Niderlandów z café frappé w dłoniach opalają się tam pod palmą.

Wielką politykę często uprawia się w kawiarniach, a kawa jest napojem politycznym. I to bardzo. Swoją karierę na światową skalę rozpoczęła 70 lat temu. Potem przez dekady była gwarantem politycznych sojuszy i strażniczką globalnego porządku. Wszystko przez to, że drzew kawowych w biednych krajach zazwyczaj rosło za dużo. – Rynek kawy jak

żaden inny podatny był na kryzysy nadprodukcji. To jego specyfika – tłumaczy „Przekroju” profesor Gavin Fridell z kanadyjskiego Uniwersytetu Trent w Ontario, który historii małej czarnej poświęcił całe swoje naukowe życie.

Przez zbyt dużą podaż na rynku ziarna kawy dawniej były tanie, a producenci żyli w biedzie. W czasie II wojny światowej ich sytuacja jeszcze się pogorszyła. Zmieniona w pole bitwy Europa przestała pić kawę i plantatorzy z Brazylii czy Kolumbii stanęli na krawędzi ubóstwa. A ubóstwem karmiła się ideologia nazistów. Dlatego by nie pchnąć Ameryki Łacińskiej w ręce Państw Osi, USA zgodziły się na zawarcie pierwszego porozumienia kawowego. Wprowadzało ono limity produkcji dla poszczególnych krajów. Po jego podpisaniu w 1941 roku ceny kawy wzrosły aż dwukrotnie.

Nic dziwnego, że po wojnie kraje ją produkujące zaczęły naciskać na zawarcie nowego porozumienia. Dla wielu z nich eksport ziaren był podstawowym wpływem do budżetu. A kiedy spadały ceny, rosło ryzyko buntu plantatorów i obawa przed rewolucją. Waszyngton przestraszył się na dobre, gdy na Kubie władzę przejął Fidel Castro.

Wtedy Biały Dom zgodził się na kolejne porozumienie. W obliczu zimnej wojny nie można było ryzykować.

Od tamtej pory międzynarodowe porozumienia kawowe zawierano co parę lat aż do końca zimnej wojny. Limity dla poszczególnych krajów producentów ustalano na takich poziomach, aby uzyskać ceny, które je zadowalały. Światowy rynek kawy przez dekady był więc gospodarką sterowaną, a paradoks polegał na tym, że kierował nią świat kapitalistyczny, aby skutecznie walczyć z komunizmem. Gdy zimna wojna się skończyła, sztucznie utrzymywane ceny spadły na łeb na szyję. Tu pora na kolejny paradoks – to wcale nie był koniec zmowy.

## Tealandy na kawie

– Wyznawcy wolnego rynku odtrąbili wówczas koniec regulacji – opowiada Fridell.

– Ale świat nie działa tak prosto. Dzisiejsze ceny kawy też są ustalane. Tyle że przez korporacje.

W latach 90. kawę można było kupić od producentów za jedną trzecią sumy sprzed dekady, a mimo to espresso w europejskich kawiarniach pozostało w starej cenie. Nawet w latach naj-

wiejszego spadku cen ziaren kawa dostępna w przedsiębiorstwach, w których odbywa się proces prażenia, staniała tylko o cztery procent. Całą różnicę w cenach skonsumowali więc pośrednicy. – Mechanizm jest prosty – mówi Fridell. – Ponad połowę światowego rynku kontrolują cztery giganci. Mają oni siłę dyktowania warunków. →

...tak  
szybko, jak  
przewracasz  
stronę, możesz  
płacić zbliżeniową  
kartą Visa.

Na wulkanicznych zboczach nad jeziorem Atitlan w Gwatemali kawę zbiera się przez cztery miesiące w roku. Całe rodziny są uzależnione od tych plantacji. Niektóre pola uprawia się nieprzerwanie od XVII wieku, kiedy to kawę z Europy przywieźli jezuici. Już na początku XIX wieku stała się ona podstawą gwatemalskiego eksportu. I jest nią do dziś



Żyje się lepiej. Visa

→ Kanadyjskiemu profesorowi nie podoba się ta nowa zmowa. Bo poprzednia, zimnowojenna, sprawiała, że producenci kawy mieli coś do powiedzenia. Porozumienia kawowe były ich bronią i siłą. Kawę piła bogata Północ, zarabiała biedne Południe. Teraz Północ i pije, i zarabia.

Dawniej producenci, aby omówić nowe porozumienia kawowe, spotykali się raz na parę lat. Jak pisze „Financial Times”, właściciele fabryk palenia kawy i dystrybutorzy zwykli spotykać się raz w roku. Teraz zasiadają do stołu nawet częściej niż co miesiąc.

Powód? Rynkowe ceny kawy chyba po raz pierwszy szybciej nie ze względu na sztuczne umowy. Kawa drożeje, bo pierwszy raz

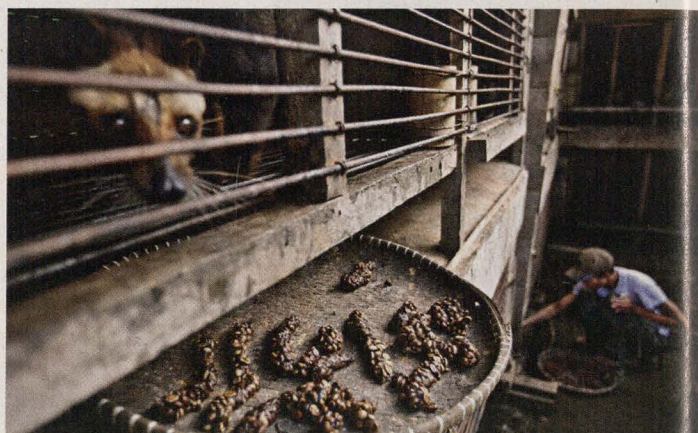
Siedzisz sobie w klimatycznej kawiarence. Przytulna atmosfera, cicha muzyka, nozdrza pieści mocny aromat. Jak myślisz, ile naprawdę kosztuje napój, za który właśnie zapłaciłeś (w stolicy) koło dychy?

### Mała czarna to za mało

– Może niektórzy w branży obrażą się, że to powiem, ale to łatwa kalkulacja – mówi „Przekrojowi” Marek Trochanowski, jeden z niewielu ekspertów, którzy doradzają, jak prowadzić kawiarnie. – Średnia cena kilograma kawy to dla kawiarni około stu złotych zysku. A kilogram wystarcza na sto filiżanek espresso. Zatem jedna jest warta złotówkę. Czasem kilkadziesiąt groszy – ujawnia.

napój z saszetki. Dziś rzadko pytają o konkretne rodzaje kawy czy kraj jej pochodzenia, ale sam napój musi smakować. Ta świadomość przekłada się na coraz większą popularność kawiarni. Dostają kilka telefonów tygodniowo. Coraz więcej z małych miasteczek – dodaje.

Skoro marża pozwala niemal dowolnie manipulować ceną kawy, a kawoszy jest w Polsce coraz więcej, nic dziwnego, że powstają coraz tańsze sieciówki. Miesiąc temu własne kawiarnie o nazwie Kropka Relaks otworzyła Biedronka. Sieć kawiarni Fresh Café zamierza uruchomić Żabka. Od 2008 roku zaś działa w Polsce McCafé, kawiarniana przybudówka barów McDonald's.



Łaskun to jedyna żywa taśma obróbki kawy – ziarenka wchodzą z jednej strony, wychodzą z drugiej. Tak powstaje najdroższa kawa świata

w historii zaczyna jej brakować na rynku. Deszcze zniszczyły kolumbijskie zbiory, które są najmniejsze od 33 lat. Zbiory brazylijskie okazały się nie tylko mniejsze, ale też gorszej jakości, niż zakładano. A w dodatku nieoczekiwanie wzrosła liczba chętnych do zakupu ziaren, którzy podbijają cenę. Od paru lat bowiem coraz więcej kawy piją kraje, które do tej pory kojarzyły się z herbatą – Rosja i Chiny.

Przyczyna jest prosta: społeczeństwa obu tych państw wychodzą z biedy i masowo rozrasta się tam nowa klasa średnia, a espresso to przecież przyjemność dla bogatych. – To zachodni napój, który nagle stał się dostępny – tłumaczy profesor Fridell. – Zwłaszcza chiński szał na kawę to zjawisko nowe i prawdziwa rewolucja dla rynku. Jeśli nawet farmerzy pozostali przy herbacie, chińskie miasta wydają się chłonać każdą ilość ziaren. Pochłaniają i pochłaniają. To jakieś szaleństwo! – dodaje przejęty.

Czy to znaczy, że za skromną małą czarną już niedługo wybulimy tyle, ile za napój z odchodów łaskuna? Niekoniecznie. Chronić nas może inna zmowa – kawiarniana.

Wysoka marża to bufor, który – oczywiście do pewnego poziomu – zamortyzuje galopujące ceny kawy na rynku. – Cena dla klienta bardziej zależy od miasta, w którym kawa jest podawana, niż od kosztu surowca. To specyfika branży: płacimy przecież za utrzymanie lokalu, jego wynajem, obsługę. Same ziarna to zaledwie ułamek kosztów – tłumaczy Trochanowski.

Sam jest założycielem firmy doradztwa kawiarnianego PanKawa.pl. Po ośmiu latach prowadzenia własnej kawiarni City Café w Jarocinie doszedł do wniosku, że potrafi przewidzieć, która knajpka ma szansę się utrzymać, a która zniknie. I doradza innym. Między innymi mówi im, że sama kawa jest zaledwie jedną z wielu części składowych sukcesu. Bo może nawet w większym stopniu niż jakość ziaren liczy się jakość wody, ekspresu i baristy, a bardziej niż smak kawy – wystrój wnętrza, lokalizacja, dobre menu, miła obsługa.

Ale to nie znaczy, że kawa jest nieważna. – Od ośmiu lat obserwuję, jak rośnie świadomość klientów. Gdy zaczynaliśmy, czasem musiałem tłumaczyć, że cappuccino to nie

W tanich sieciówkach wiedzą już, że klientów nie można zbyć mętną lurą. – To nie tylko obycie w kawiarniach: coraz więcej ludzi ma w domu ekspresy – wyjaśnia Trochanowski. – Co prawda ekspresów przeznaczonych do użytku domowego czy biurowego nie można porównywać z kawiarnianymi, to inna cena i jakość. Dlatego jeśli ktoś chce uzyskać w domu napój podobny do tego z kawiarni, lepiej zrobić, gdy kupi używany ekspres z kawiarni. Ale już po samym rynku tych ekspresów widać, że w Polsce zapotrzebowanie rośnie.

No cóż, skoro z globalnej perspektywy wzrost spożycia kawy jest oznaką bogactwa i się społeczeństwa, pozostaje się cieszyć, że polski tealand przechodzi na kofeinę. Może nie wszystkim uda się w życiu skosztować naparu na bazie ziaren z kupy łaskuna, ale przynajmniej chyba już nikt nie myśli, że „ekspreso” to kawa z ekspresu. A dziwadło ochrzczone nad Wisłą „kawą po turecku” (choć zalewanie fusów jako żywo nie ma nic wspólnego z fenomenalną kawą parzoną w tygielkach w kraju Ataturka) za parę lat zostanie zupełnie wyparte przez porządne espresso. ●

PROMOCJA

## Płatności zbliżeniowe Visa

Nowy sposób zapłaty za drobne zakupy: wygodny, bezpieczny – i znacznie szybszy niż płatność gotówką

Karta Visa z funkcjonalnością zbliżeniową umożliwia błyskawiczne płatności o niskiej wartości (do 50 złotych). Płatność trwa krócej niż sekundę, a cała transakcja raptem kilka sekund. Płacąc zbliżeniowo, nie podajemy karty sprzedawcy, nie przeciągamy jej przez czytnik, nie wprowadzamy kodu PIN ani nie składamy podpisu na wydruku. Wystarczy jedynie przyłożyć kartę do specjalnego czytnika. To najszybszy sposób płatności kartą, o wiele szybszy niż płatność gotówką.



Zbliżeniowa karta Visa nie jest kolejną kartą w portfelu; ta dodatkowa funkcjonalność po prostu zwiększa możliwości naszej karty Visa (debetowej, kredytowej czy przedpłaconej). Dzięki temu mamy więcej możliwości zapłaty nią: zarówno w tradycyjnych terminalach, jak i tych wyposażonych w czytniki zbliżeniowe.

W zbliżeniowych płatnościach Visa zastosowano wiele mechanizmów bezpieczeństwa. Sercem zbliżeniowej karty Visa jest mikroprocesor, który wykorzystuje szyfrowanie danych i rozwiązania technologiczne w zakresie ochrony przed ewentualnymi transakcjami oszukańczymi.

Chcąc zapłacić zbliżeniowo kartą Visa, informujemy o tym sprzedawcę, który uruchamia odpowiedni mechanizm w terminalu płatniczym. Wtedy – i dopiero wtedy – na krótką chwilę aktywuje się czytnik zbliżeniowy, do którego zbliżamy kartę i przytrzymujemy około pół sekundy. Nie ma możliwości wielokrotnego wykonania tej samej transakcji ani przypadkowego zapłaty za nie swoje zakupy; bezpieczne jest również samo przejście z kartą obok zbliżeniowego czytnika. Chronią nas także limity ustalone przez bank-wydawcę zbliżeniowych kart Visa, dzięki którym liczba płatności zbliżeniowych, podczas których nie podajemy kodu PIN, jest ograniczona. Każda transakcja, której przeprowadzenie spowodowałoby przekroczenie limitu, musi być dokonana w „tradycyjny” sposób.

sób, czyli przez podanie karty sprzedawcy i potwierdzenie kodem PIN lub podpisem – dopiero wtedy limit zostaje „wyzerowany”.

Liczba terminali, w których można płacić zbliżeniowymi kartami Visa, rośnie coraz szybciej; obejmuje już prawie dziesięć tysięcy placówek handlowo-usługowych w całym kraju. Terminale przyjmujące płatności zbliżeniowe Visa można spotkać zarówno w małych sklepach, jak i w placówkach należących do ogólnopolskich sieci, m.in. Empik, McDonald's, coffeeheaven czy Multikino, w delikatesach Bomi, drogeriach Rossmann, księgarniach Matras, sieci Euro-Apteka czy na stacjach Shell. Placówki akceptujące zbliżeniowe karty Visa najszybciej można zlokalizować na mapie lub na liście dzięki wyszukiwarce na stronie [www.visa.pl](http://www.visa.pl).

Chcesz skorzystać z zalet błyskawicznych i bezpiecznych płatności zbliżeniowych? Zapytaj o zbliżeniową kartę Visa w swoim banku: już dziś są one w ofercie kilkunastu banków, do których wkrótce dołączą kolejne.

Płatność zbliżeniową kartą Visa trwa krócej niż sekundę.

Szybko i wygodnie – bez szukania drobnych lub czekania na wydanie reszty.



Przyłóż zbliżeniową kartę Visa do czytnika. Jeden biip i zapłacone.

VISA

[www.visa.pl](http://www.visa.pl)

REKLAMA

# Bez dyspensy, bez balu

Już zaprosili profesorów, sprzedali bilety, zamówili catering. W końcu jednak studenci z Krakowa odwołali bal. Powód? Brak szans na dyspensę

**T**o miał być huczny bal polonistów z Uniwersytetu Jagiellońskiego dla ponad 120 osób, w tym wykładowców. Samorząd wydziału zaplanował go na połowę marca. – Wcześniej przeszkadzała nam sesja i ferie – wyjaśnia „Przekrojowi” Radosław Rodasik, przewodnicząca samorządu, który

wydrukował zaproszenia i sprzedał pierwsze wejściówki. A potem zaczęły się e-maile. – Studenci zwrócili nam uwagę, że jest Wielki Post, i poprosili o zapytanie o dyspensę na dzień balu – opowiada Rodasik. Zapytanie miało być wystosowane do metropolity krakowskiego, księdza kardynała Stanisława Dzi-

wisza. Wcześniej jednak samorząd podpytał duszpasterstwo akademickie o możliwą reakcję kardynała. Duchowni stwierdzili, że ksiądz Dziwisz na przerwanie postu się nie zgodzi. – I słusznie. Problem stworzyli sobie sami studenci – mówi profesor Jacek Hołówka, etyk. – Z jednej strony jako katolicy godzą się na postne umartwienie, z drugiej – zamarzyli sobie odstępowanie od pokuty. Przy okazji wszyscy zapomnieli, że studują na świeckim uniwersytecie, a wśród ich kolegów są również niewierzący – przypomina. Świętowanie studentów odbędzie się zatem po Wielkanocy.

ANNA SZULC

## RACZKOWSKI PONOWNIE



## KAPSULE CZASU

### Do potomności

**C**hcemy Polski naprawdę sprawiedliwej – napisało troje pracowników Huty Stalowa Wola. Ale to było 64 lata temu. Wkrótce każdy będzie mógł przeczytać listy, które wtedy zamurowali w ścianie kuźni.

Autorzy nie spodziewali się, że za ich życia ktoś pozna treść tych zapisków. Opisali w nich bowiem żal z powodu braku sprawiedliwości, poczucie zniewolenia, rozczarowanie powojenną rzeczywistością. Prosił, by się za nich modlić. „Czekamy znów Wyzwolenia. Tym razem ze szponów pepeerowców i spod wpływu Rosji Sowieckiej” – to tylko fragment listów, które podpisali „Basia – panienka, Józek – żona i Wandka – wdowa”.

Listy zamurowali w 1947 roku, korzystając z tego, że w hucie był remont, podczas którego wstawiano nowe drzwi. W tym roku dzięki ponownemu remontowi i wymianie zostały one



FOT. WIKTOR PENTAL/Visavis.pl/Forum

odnalezione. Trafiły do Muzeum Regionalnego w Stalowej Woli, które od 16 kwietnia do 15 maja pokaże nie tylko listy, ale też zdjęcia autorów oraz przybliży ich losy. Wyciągnięcia listów ze ściany doczekała tylko „Basia – panienka” (pozostali nie żyją), czyli Barbara Pieczera, która była najmłodsza z całej trójki. Gdy pisała „do potomności”, miała 23 lata.

ICZ

## CO MÓWIĄ LICZBY



**CO WIDZIECIE?** Irańczycy zobaczyli angielskie słowo Zion, czyli Syjon, biblijne określenie Izraela, i zapowiedzieli, że jeśli logo nie zostanie zmienione, nie przyjadą w 2012 roku na igrzyska olimpijskie do Londynu. Brytyjski premier David Cameron zarzucił Irańczykom paranoję i zapowiedział, że nikt za nimi nie będzie tęsknił. W końcu Międzynarodowy Komitet Olimpijski przekonał Teheran, że to tylko liczba.

LUC

## INTERWENCJE



### Atak na Libię?

**R**ada Bezpieczeństwa ONZ w nocy z czwartku na piątek przyjęła długo wyczekiwaną rezolucję w sprawie Libii. Zapadła decyzja o wprowadzeniu nad całym tym krajem strefy zakazu lotów, a państwa członkowskie ONZ zostały zobowiązane do podjęcia „wszelkich środków niezbędnych” do ochrony ludności cywilnej w Libii. Muammar Kaddafi zareagował jeszcze w piątek. Za pośrednictwem szefa MSZ ogłosił natychmiastowe zawieszenie broni i wydał rozkaz wstrzymania działań militarnych, bo jak przyznał jego minister: „Libia jest bardzo zainteresowana ochroną cywilów”. Libijscy rebelianci nie dali wiary deklaracjom Kaddafiego, określając je jako bief. Podobnego zdania są autorzy rezolucji przeciwko Trypolisowi – Francuzi i Brytyjczycy. Ci drudzy jeszcze w weekend rozpoczęli przetrzymywanie swoich bombowców Tornado (na zdjęciu) w rejon Morza Śródziemnego. Do ataku jednak prawdopodobnie nie dojdzie bez Amerykanów, którzy w piątek wciąż się wahali. LUC

## CHOROBY ZAKAŻNE

### Za syfilis

**K**ilkudziesięciu Gwatemalczyków złożyło pozew przeciwko rządowi USA, w którym oskarżają Amerykanów o zakażenie ich syfilisem. Pozywający są ofiarami makabrycznego testowania skuteczności penicyliny – w ramach tajnego programu w latach 1946–1948 Amerykanie (za zgodą gwatemalskiego rządu) zarazili syfilisem kilkuset więźniów, osoby psychicznie chore i sieroty. Nieświadome ofiary dostawały zastrzyk bądź „podsuwano” im zakażone syfilisem prostytutki. Sprawę ujawniła dopiero w 2010 roku amerykańska historyk Susan Reverby. Gwatemalczyk przez rok czekał na dobrowolne odszkodowanie od Amerykanów. Nie doczekał się, więc poszł do sądu. LUC

## PROMOCJA

**J**est rok 1856. Na terenach Państwa Żywieckiego książe Albrecht Fryderyk Habsburg otwiera budowany przez cztery lata Browar Arcyksiążęcy. Choć tradycja piwna sięga tu średniowiecza, dopiero wspomniana „inwestycja” okazuje się przełomowa, jeśli chodzi o skalę produkcji. Browar rozwija się w imponującym tempie – u progu XX wieku jest jedną z wizytówek rozwoju przemysłowego w regionie. Profesjonalne wytwórstwo nie ma nic wspólnego ze stosowanymi wcześniej, prostymi i mało efektywnymi metodami folwarcznymi. Habsburgowie ściągają piwowarów z Austrii i Niemiec, a wraz z nimi maszyny parowe. Para nie idzie jednak w gwizdek: żywiecki browar wytwarza ponad 100 tysięcy hektolitrowych piwa rocznie, co jest odpowiednikiem aż 20 milionów półlitrowych butelek chmielowego trunku! Duża skala produkcji oraz jakość warzonego piwa sprawiają, że wśród 260 browarów staje się liderem w Galicji. I dzięki wyjątkowo korzystnemu położeniu – przy linii kolejowej łączącej Lwów z Wiedniem – z sukcesem eksportuje swoje produkty.



# Browar Żywiec

*Czyste powietrze, tonące w zieleni otoczenie, krystaliczna woda z górskiego strumienia – to właśnie naturalne walory Żywca dały impuls do powstania legendarnego browaru, który od ponad 150 lat nieprzerwanie produkuje cieszące się popularnością, wysokiej jakości piwo.*

akcyjną. Spółkę, dodajmy, która na przestrzeni dwóch ostatnich dekad współkreowała kierunki rozwoju całego sektora piwnego w Polsce.

### Żywieckie żywioły

Mimo ogromnych wydatków i nakładów inwestycyjnych, jeden z największych browarów w Europie zachował swój unikalny charakter. Stanowi esencjonalne połączenie tradycji i nowoczesności. Trafic tam nietrudno – mieści się on, bowiem przy ulicy... Browarnej. Kompleks zabytkowych budynków sąsiaduje z nowoczesnie zarządzanym browarem, który zatrudnia prawie 1500 osób. Na jego terenie znajduje się muzeum wybudowane z okazji 150. rocznicy powstania piwnej wytwórni. W dawnych piwnicach leżakowanych zaaranżowano m.in. Salę Trzech Żywiołów, dedykowaną podstawowym składnikom piwa – wodzie, chmielowi i jęczmieniowi. Jest też stylizowana salka przypominająca uliczkę XIX-wiecznego Żywca oraz ekspozycje poświęcone działalności browaru na przestrzeni wielu

dekad: od czasów habsburskich, poprzez okres wojenny i PRL, do czasów współczesnych. Wsławie muzealniczy został doceniony i na początku tego roku Muzeum Browaru Żywiec stało się jednym z tzw. punktów kotwicznych na Europejskim Szlaku Dziedzictwa Przemysłowego.

### Uczta dla podniebienia

Zwiedzanie to nie tylko przyjemność dla ducha – wizytę wieńczy degustacja świeżo uwarzonego piwa. Amatorzy złocistego trunku mają zresztą sporo okazji do biesiadowania. Żywiec sponsoruje wiele imprez muzycznych i kulturalnych, od 15 lat przy browarze organizowana jest coroczna Giełda Bifilów, podczas której spotykają się tysiące fanów browarnictwa, kolekcjonerów gadżetów czy po prostu amatorów dobrego piwa. W ramach imprezy odbywa się też Konkurs Piw Domowych, którego zwycięzca otrzymuje możliwość uwarzenia swojego piwa w profesjonalnym browarze. Jeśli czujecie, że należycie do tej browarniczej wspólnoty, już dziś rezerwujcie jeden z przyszłorocznych weekendów czerwca na wyjazd do Żywca. Bo tylko tam piwo smakuje tak dobrze.



Uwarzone i rozlane:  
Browar Żywiec  
ul. Browarna 88



# Gotowy do roli Julii

Polskie filmy lubi, w sitcomach nie gra, za to w reklamach tak.

**ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI** opowiada Robertowi Mazurkowi, jak bardzo ważny w życiu aktora jest płodozmian

**Zostało panu jakieś pięć lat grania.**

- Tak mnie pan zaskoczył, że sernik utkwiał mi w gardle. A to dlaczego? **Jerzy Fedorowicz przekonywał mnie niedawno, że gdy aktor kończy 55 lat, kończą się propozycje.**

- Nie przewiduję zmiany profesji i liczę na to, że profesja mi się odważymni. Mam 50 lat i jakoś się utrzymuję - i w tym zawodzie, i z tego zawodu. A nawet czerpię z tego przyjemność - raz większą, raz mniejszą.

**A teraz?**

- Teraz z pokorą przyjmuję moment, kiedy dostaję bardzo mało propozycji filmowych.

**Pan?!**

- Tak. Mam pewien przestój, ale ponieważ to nie pierwszy filmowy przestój w moim życiu, spoglądam na niego ze spokojem.

**To znaczy?**

- Nie mam tyle siły co Krystyna Janda, która kiedy nikt jej nie obsadzał w kinie, wyreżyserowała i wyprodukowała „Pestkę”, a kiedy jej było źle w teatrze, to założyła własny, w którym fantastycznie funkcjonuje. Nie zamartwiam się i robię swoje.

**A może ten złoty dla pana czas już nie wróci?**

- Mam świadomość, że wszystko przemija. Być może swój najlepszy moment zawodowy też mam już za sobą? A może nie, może jeszcze coś nieoczekiwanego się zdarzy? Jeśli tak, to fajnie, ale nie będę gryzł palców w oczekiwaniu.

**Panu łatwiej, bo pan się zdywersyfikował.**

- (*śmiech*) Zawsze dbałem o tę dywersyfikację. Jestem tuż po premierze „Lorenzaccia” u Lassalle’a w Teatrze Narodowym. Właśnie wydaję z Grupą MoCarta płytę z przedstawienia „Zamach na MoCarta, czyli jeżeli śpiewać, to nie indywidualnie”.

**Ale kilku starszych kolegów rzeczywiście nie ma co grać: Linda nie gra, Kondrat zrezygnował z zawodu... W Polsce jest krucho z propozycjami dla aktorów w średnim wieku.**

- Cóż ja mogę panu powiedzieć poza tym, że naprawdę nad tym ubolewam? To jest doprawdy zdumiewające. Nie rozumiem tego, tym bardziej że za granicą to wygląda zupełnie inaczej.

**Tam po pięćdziesiątce talent może eksplodować, jak u Billa Murraya w „Między słowami” czy „Broken Flowers”. W Polsce wystano by go na emeryturę.**

- To jest masakra. Nie ma filmów, nie ma takich ról.

**Dlaczego?**

- Bo nikt nie odważył się napisać takiego scenariusza, zrealizować takiego filmu. Nikt nie uwierzył, że „Broken Flowers” przeniesione w polskie realia mogłoby odnieść sukces finansowy. A mogłoby. Tymczasem u nas, gdy ktoś chce zrobić film komercyjny, to wpada w cześć z komediami romantycznymi.

**Które nie są ani komediami, ani romantycznymi...**

- I nikt o nich za 10 lat nie będzie pamiętał.

**Jeżeli nie ma propozycji dla takich aktorów jak Linda czy Kondrat, to ja nic nie rozumiem.**

- Niech pan pyta o to reżyserów, ludzi od castingów, producentów. Niech pan pyta, czy nie popadają w sztaampę. Jest książka o Zbigniewie Cybulskim składająca się z rozmów z ludźmi, którzy z nim pracowali. I wszędzie, a jest tych rozmów ze 20, pojawia się żal, że Cybulski nie zagrał ról na miarę swego talentu, że nie zagrał ich tyle, ile mógł. I w większości mówili to reżyserzy, od których zależało, czy on będzie grał, czy nie.

**Lubi pan polskie filmy?**

- Podobały mi się wszystkie nominowane do Orłów: i „Essential Killing”, i „Różyczka”, i „Wszystko, co kocham”.

**Mało pan wymagający.**

- Po prostu otwarty, ale rzeczywiście nie należę do ludzi, którzy kiedy nie podoba im się film, to wychodzą z kina, trzaskając drzwiami.

**Nigdy pan nie wyszedł?**

- Ze dwa razy w życiu. A pan?

**Nie zdzierzyłem „Operacji koza”.**

- To niech pan sobie wyobrazi, że miałem tam grać jedną z głównych ról.

**O matko...**

- A propozycja finansowa była bardzo kusząca. I tylko to?

**Na DVD widziałem 22 minuty „Testosteronu”, ale odpadłem, bo nawet się nie uśmiechnąłem.**

- Filmu nie widziałem, ale w teatrze to był niezaprzeczalny hit.

**Pan powinien być filmowo spełniony, prawda?**

- Był taki czas, że bałem się otworzyć lodówkę, bo też tam będę, ale - jak mówiłem - teraz tych propozycji tyle nie mam.

**W Polsce nikną gdzieś nawet gwiazdy, aktorzy bardzo popularni.**



„ Nie należę do żadnego zakonu teatralnego. Nie jestem zakonnikiem i nie mam poczucia szalonej misji, choć mam poczucie odpowiedzialności za swój zawód i wiem, że jest to profesja szczególna

ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI

- U nas dodatkowo funkcjonuje syndrom aktora nagrodzonego, który często momentalnie traci propozycje. Ja taki pierwszy przestój zanotowałem w drugiej połowie lat 90., kiedy grałem u Kiesłowskiego i byłem w natarciu. Odbierając Złotą Kaczkę, powiedziałem nawet reżyserom, że „aktor nagrodzony nie traci nic ze swych właściwości”.

**Jednak zaangażowanie pana jako Wołodyjowskiego było przejawem odwagi.**

- Naprawdę? Dlaczego?

**Bo pan Michał to przecież nasz bohater narodowy, a pan miał wówczas taką vis comica...**

- Tę propozycję dostałem wiele lat wcześniej, zanim doczekała się realizacji. I rzeczywiście grałem wtedy role komediowe, ale nie bałem się przyjąć tej propozycji, bo nie zapominajmy, że „Ogniem i mieczem” to pierwsza część „Trylogii” i Wołodyjowski jest w niej najmłodszy.

Dziś myślę nawet, że powinienem wziąć tę postać w jeszcze większy nawias, zupełnie inaczej niż genialny Tadeusz Łomnicki.

**Wcielenie się w tę postać po nim to jednak było ryzyko.**

- Ta rola wymagała ode mnie nie tylko narażenia się na porównania z Łomnickim, ale także przełamania się choćby w czymś takim jak jazda konna. Musiałem się jej nauczyć specjalnie na potrzeby „Ogniem i mieczem”, ale przydała się potem choćby w „Wiedźminie”.

**W Polsce nie ma zbyt wielu filmów kostiumowych, ale pan często się w nich znajdował. To jest ta dywersyfikacja: komedia, kostium, dramatyczna rola u Lassalle’a i przedstawienie kabaretowe w Syrenie.**

- Staram się mieć wpływ na to, co robię, i w miarę to kontrolować, a to, o czym pan mówi, jest świadomym wyborem wynikającym z dbałości o to, by się nie zasufladkować. I nie chodzi wyłącznie o to, jak będą postrzegani przez widzów czy krytyków, ale też o moje →

→ samopoczucie. Nie czułbym się dobrze tylko w jednym typie ról. Gdybym całe życie grał miłych, fajnych facetów o zabarwieniu komediowym, to znudziłbym się nie tylko widzom, ale i sobie samemu. Dlatego szukam propozycji, które są choćby odrobinę inne niż te, do których się przyzwyczaiłem. O ten płodozmian łatwiej w teatrze.

#### Nawet jeśli się gra w setnym przedstawieniu?

- Gdyby pan przyszedł na „Zamach na MoCarta” kilka razy, dostrzegłby pan, że staramy się grać to zawsze trochę inaczej, bo my improwizujemy, polujemy na żarty, rozmawiamy z publicznością.

#### Jan Peszek przekonywał mnie, że nie popada w rutynę w „Scenariuszu dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego”. Przecież on to gra od 35 lat!

- I zagrał to ponad tysiąc razy, ale myślę, że nie byłby w stanie tego robić, gdyby to była rutyna. Gram w Syrenie w „Klubie hipochondryków” i niedawno było 250. przedstawienie, lecz nie mam poczucia, żeby ktośkolwiek z nas się nudził. Próbujemy uwzględnić nasze samopoczucie, robimy sobie żarty, staramy się właśnie nie popaść w rutynę.

#### Jak to możliwe?

- Zawsze mamy świadomość, że za każdym razem to jest rodzaj premiery, bo dla widzów to zazwyczaj pierwsze przedstawienie. Odcinanie kuponów od tego, co było wczoraj, ma bardzo krótkie nogi.

#### Nie gra pan w tasiecach. Brakuje propozycji?

- Dostają takie oferty, nawet ostatnio jedną odrzuciłem.

#### Dlaczego?

- Dopóki nie muszę, nie gram w sitcomach czy takich serialach. Ale gdyby się okazało, że nie mogę inaczej utrzymać rodziny, to oczywiście zdecydowałbym się, bo to jest mój zawód. Ja w ten sposób zarabiam na życie. Zdaję sobie sprawę, że to bardzo męcząca, trudna praca wymagająca skupienia i wysiłku. Choćby z tego powodu nie chciałem na takie propozycje przystać.

#### Ale to nie było decydujące.

- Nie, bo wiem też, jak trudno potem zagrać coś innego niż to, do czego przyzwyczailiśmy widza i reżysera. Wszyscy przecież znamy zmagania Stanisława Mikulskiego z rolą Klossa.

#### Ale Gajosowi udało się uciec dwa razy.

- Jednak tylko on wie, ile go to kosztowało.

#### Gra pan i dramatycznie, i komediowo, ale u Jarzyny czy Warlikowskiego pan nie występuje.

- Nie potrafiłbym się w takim teatrze odnaleźć.

#### Dlaczego nie chciał pan spróbować?

- To nie przemawia do mnie jako widza. Czuję się jak podglądacz, jestem tym zażenowany. A poza tym jestem od Grzegorzewskiego i to tak silny stygmat, że trudno byłoby mi przyjąć jakąkolwiek inną estetykę i inne spojrzenie na teatr, na gust i smak.

#### Grzegorzewskiego nie ma od sześciu lat.

- Więc nauczyłem się Lassalle'a, nauczyłem się grać „po amerykańsku” u Kutza w „Śmierci komiwojażera”.

#### Więc może pan robić inne rzeczy?

- Ale ten „nowy” teatr - i tu podkreślmy, że jest on nowy w cudzysłowie - jest dla mnie zbyt dosłowny. Środki, którymi się posługuje, są dla mnie poza granicami teatru.

Może to właśnie teatr transgresji, przekraczania norm...

- Ech, ale ile można przekraczać normy? Tu już wszyscy latali na góla sa po scenie.

#### Pan nie.

- Na szczęście nie, i to jest mój świadomy wybór.

#### Kilka lat temu wydawało się, że ten nowy teatr zatriumfuje i wy będziecie takimi śmiesznymi facecikami w kostiumikach.

- Że zostanie wyparta estetyka teatralna?

#### W każdym razie że zostanie zrewolucjonizowana i w teatrach ostaną się tylko „Szczątki ludzkie”.

- Mam wrażenie, że obie strony trochę się opamiętały, a ten tak zwany nowy teatr, mimo że szerzył tolerancję, sam był skrajnie nietolerancyjny, negował i deprecjonował każdą inną estetykę niż własna. Na szczęście teraz to się ułożyło i możemy sobie pójść i do takiego, i do zupełnie innego teatru.

#### Albo na koncert. Śpiewa pan cały czas.

- Ja się wzięłem z muzyki! Jeszcze w szkole średniej zacząłem swoje wojaże festiwalowe i estradowe, które mnie doprowadziły w 1980 roku do Opola, gdzie zdobyłem drugie miejsce w Debiutach i jednocześnie rzuciłem się w oczy reżyserowi Krzysztofowi Rogulskiemu, który zaproponował mi rolę w „Wielkiej majówce”.

#### Świetnym filmie, skądinąd bardzo muzycznym, bo z Maanamem.

- Wtedy bardzo na topie. Film powstał w tej krótkiej chwili oddechu po Sierpniu '80 roku, a przed stanem wojennym.

#### Wymarzony debiut.

- Rzeczywiście bardzo ten film lubię, ale muzyka towarzyszyła mi też później. Ona była, jest i będzie. Cały czas pisałem sobie piosenki, robiłem do nich

muzykę. Teraz teatr w Białymstoku sięgnął do mojej muzyki do „Balu manekinów” Brunona Jasiońskiego.

#### Posłał pan dzieci do szkoły muzycznej?

- Same się posłały, mają słuch, grają na instrumentach, ale pasem nie będą ich do tego zapędzała. Na pewno dzięki niej będą bogatsi. I nie chodzi o to, że będą dostawać tantiemy z ZAiKS.

#### À propos pieniędzy. Wywołał pan burzę i święte oburzenie, mówiąc, że nie wstydi się grać w reklamach.

- Jak się potem okazało, była to burza w szklance wody. A moja mała satysfakcja polegała na tym, że nie minęło wiele czasu, a prawie wszyscy moi żarliwi oponenci zobaczyli w reklamach swoich niezłomnych.

#### A pan dlaczego w nich wystąpił?

- Podchodziłem do tego czysto merkantylnie. I zrobiłbym to samo, nawet gdybym - tak jak wtedy - nie budował domu.

#### Nie miał pan oporów?

- Nie, bo tylko ja jestem odpowiedzialny za siebie i tylko ode mnie zależy, czy ja swój brand, swoją markę chcę komuś sprzedać i za jakie pieniądze. I to robią w pewien sposób wszyscy.

#### No, Holoubek w reklamach nie grał.

- Bo i epoka, w której pan Gustaw grał, była od takich pokus wolna.

#### Są jakieś granice handlowania swoim brandem?

- Każdy sam je sobie wyznacza. Mogę tylko zapewnić, że odrzuciłem mnóstwo bardzo intratnych propozycji reklamowych.

#### Chciał pan burzyć mit, że aktor wypełnia szczególne posłannictwo?

- Ja po prostu nie należę do żadnego zakonu teatralnego. Nie jestem zakonikiem i nie mam poczucia szalonej misji, choć mam po-

czucie odpowiedzialności za swój zawód i wiem, że jest to profesja szczególna.

#### A na czym polega jej szczególność?

- Choćby na tym, że nie każdy może ją wykonywać. O ile jeszcze w filmie może zagrać prawie każdy, lepiej lub gorzej, o tyle teatr natychmiast to weryfikuje. On wymaga od aktora szczególnych rzemieślniczych umiejętności, które trzeba nabyć. Nie mam nic przeciwko, by grali ludzie bez wykształcenia aktorskiego, ale zapraszam ich, by stanęli na deskach i coś zagrali.

#### Jest pan bardzo popularnym aktorem, ale udaje się panu trzymać media na dystans.

- Moje życie jest tylko moim życiem i jakkolwiek ono będzie interesowało innych, ja nie dam się w to wciągnąć.

#### Mimo to parę razy pańskie życie osobiste stało się obiektem sensacyjnych doniesień. Jak pan to znosi?

- A jak pan by to zniósł?

#### Szlag by mnie trafił.

- To nie jest kokieteria, ale nigdy w życiu nie wchodziłem na plotkarskie portale, a tabloidy widuję wyłącznie na wystawie w kiosku. Mnie bez tego żyje się dużo lepiej.

#### Im to nie przeszkadza, niestety.

- Nie mam zamiaru komentować mojego życia, walczyć z plotkami, bo i po co? Rzadko, ale zdarza mi się bywać na jakichś uroczystościach, więc pozwalam się sfotografować i tyle. Zresztą i tak za mną latają, żeby tylko przyłapać mnie, jak w sklepie nocnym kupuję piwo.

#### No, to poważny wybrzek.

- Na niczym innym nie mogą mnie przyłapać, więc mają sensację z tego nieprawdopodobnego wykroczenia.

#### Wspominał pan, że żalowano, iż Cybulski czegoś nie zagrał. Pan żałuje, że coś pana ominęło?

- Nie myślę o tym w czasie przeszłym.

#### No dobrze, ale Romea pan nie zagra.

- (śmiech) Ale Julię? Teraz wszystko jest możliwe. Nigdy nie miałem takich marzeń, których realizacja powoduje euforie, ale też nigdy na żadne role nie chorowałem. Nie musiałem zagrać Hamleta czy Ryszarda III, ale może jak mi się jeszcze bardziej zepsuje charakter, to przynajmniej w tego drugiego uda mi się wcielić.

#### A psuje się panu charakter?

- Wszystkim się psuje.

#### Znam pana, który po sześćdziesiątce postanowił być miły i mu się, niestety, udało.

- Ja akurat jestem miły dla ludzi i nie muszę czynić takich postanowień.

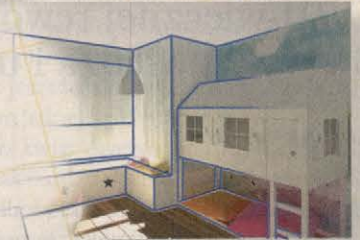
## Zbigniew Zamachowski

Honorowy obywatel Brzezin, gdzie urodził się w 1961 roku. Jeden z najpopularniejszych dziś polskich aktorów przez lata był ulubieńcem Jerzego Grzegorzewskiego, który wielokrotnie obsadzał go w swych spektaklach w Teatrze Studio i w Teatrze Narodowym, między innymi w „Usta milczą, dusza śpiewa”, „Wujaszku Wani”, „Ślubie”, „Halce Spinozie”. Najciekawsze filmowe kreacje Zamachowski stworzył u Krzysztofa Kieślowa

w „Dekalogu X” (1989) i „Trzech kolorach. Białym” (1993) oraz w filmach „Cześć, Tereska” (2000) Roberta Glińskiego i „Zmruż oczy” (2003) Andrzeja Jakimowskiego, za które otrzymał Orła - polską nagrodę filmową. Od początku kariery związany jest z estradą. Do sklepów trafiła właśnie płyta DVD „Zamach na MoCarta” będąca zapisem ścieżki dźwiękowej i wizyjnej przedstawienia, które w Teatrze Syrena zrealizował wraz z Wojciechem Malajkatem i Grupą MoCarta. Teraz można go oglądać na deskach Teatru Narodowego w „Lorenzacciu” w reżyserii Jacques’a Lassalle’a.

# Mieszkanie z marzeń w 3D

wybieraj drzwi i podłogi



dobierz kolor ścian



rozstawiaj i przestawiaj meble



zobacz w 3D, wydrukuj i ruszaj na zakupy!



mieszkanie naplanie.pl



# Technologiczna rewolucja antyku

Już ponad dwa tysiące lat temu cywilizacja mogła wykonać skok na miarę XVIII-wiecznej rewolucji przemysłowej. Antyczni wynalazcy dysponowali niezwykłą wiedzą i umiejętnościami. Byli o krok od wielkiego przełomu

OLAF SZEWCZYK

**N**a naszych oczach rodzi się kultura tabletów (25 marca w Polsce premiera iPada 2, który tylko w USA w pierwszy weekend sprzedał się w milionie egzemplarzy), a telefony komórkowe gwałtownie ewoluują w potężne wielofunkcyjne komputery. Żyjąc w erze eksplozji wynalazków, nie powinniśmy jednak zapominać, że nie jesteśmy pierwszą cywilizacją w historii, która wybrała taką ścieżkę rozwoju.

Mamy zwyczaj postrzegać postęp cywilizacji naukowo-technicznej jako proces ciągły i – aż do początku XX-wieku, kiedy to świat nagle przyspieszył – raczej miarowy. Owszem, zdarzało się, że jakaś wybitna jednostka lub nagłe odkrycie stymulowały na chwilę ewolucję idei, a niepomysłne okoliczności, jak choćby spalanie bezcennych zbiorów biblioteki, działały jak hamulec. Z perspektywy wieków były to jednak ledwie fluktuacje. Przynajmniej tak nam się zdaje. Cóż, jesteśmy w błędzie.

Nasi odlegli przodkowie potrafili konstruować wymyślne urządzenia mechaniczne, wykorzystywali moc pary i sprężonego powietrza, rozumieli, czym jest energia potencjalna, i umieli ją wykorzystać. Ich wiedza matematyczna stała na tak wysokim poziomie, że myśliciele Europy przez długie stulecia nie byli w stanie przebić osiągnięć swych poprzedników.

## Ille Ziemia ma w pasie?

Przykładem przepaści, która dzieliła starożytnych myślicieli od ich nowożytnych następców, jest opus magnum greckiego matematyka Eratostenesa z Cyreny. Nawiasem mówiąc, także poety. W tamtych pięknych czasach wola doskonalenia umysłu miała charakter totalny – nikt sztucznie nie dzielił zrozumienia na traktowane jako rozłączne i obce nauki humanistyczne oraz ścisłe.

Eratostenes około 230 roku przed naszą erą ustalił obwód Ziemi, i to z dużą precyzją, dys-

ponując jedynie swym umysłem, znajomością geometrii i intrygującą informacją, że w leżącej niemal na zwrotniku miejscowości Syene (dzisiejszy Asuan w południowym Egipcie) słońce w dzień letniego przesilenia, w południe, oświetla dno studni (promienie padają pionowo). Zmierzył kąt, pod jakim w tym czasie promienie słońca padają w Aleksandrii – niewiele się mylił, sądząc, że oba te miejsca leżą na jednym południku – a także odległość między Syene i Aleksandrią. Znając różnicę kątów padania promieni, dokonał przeliczeń. Potem ten niezwykły człowiek porwał się między innymi na pomiary odległości Ziemi od Księżycy i Słońca. Działo się to w czasach, gdy za wszystko, co się toczyło wokół, odpowiadali – jak wierzyliśmy – bogowie, a kanon naukowej interpretacji świata ledwie co zaczynał się kształtować. Właśnie dzięki Grekom.

My – czyli przedstawiciele cywilizacji postantycznej – byliśmy zdolni powtórzyć osiągnięcie Cyrenejczyka i zmniejszyć margines błędu obliczeń dopiero 19 stuleci później, w roku 1669. Jean Picard dokonał tego na podstawie wskazówek, które przetrwały w przekazach o pomiarze Eratostenesa. Francuski astronom był zatem zaledwie zdolnym kopistą idei.

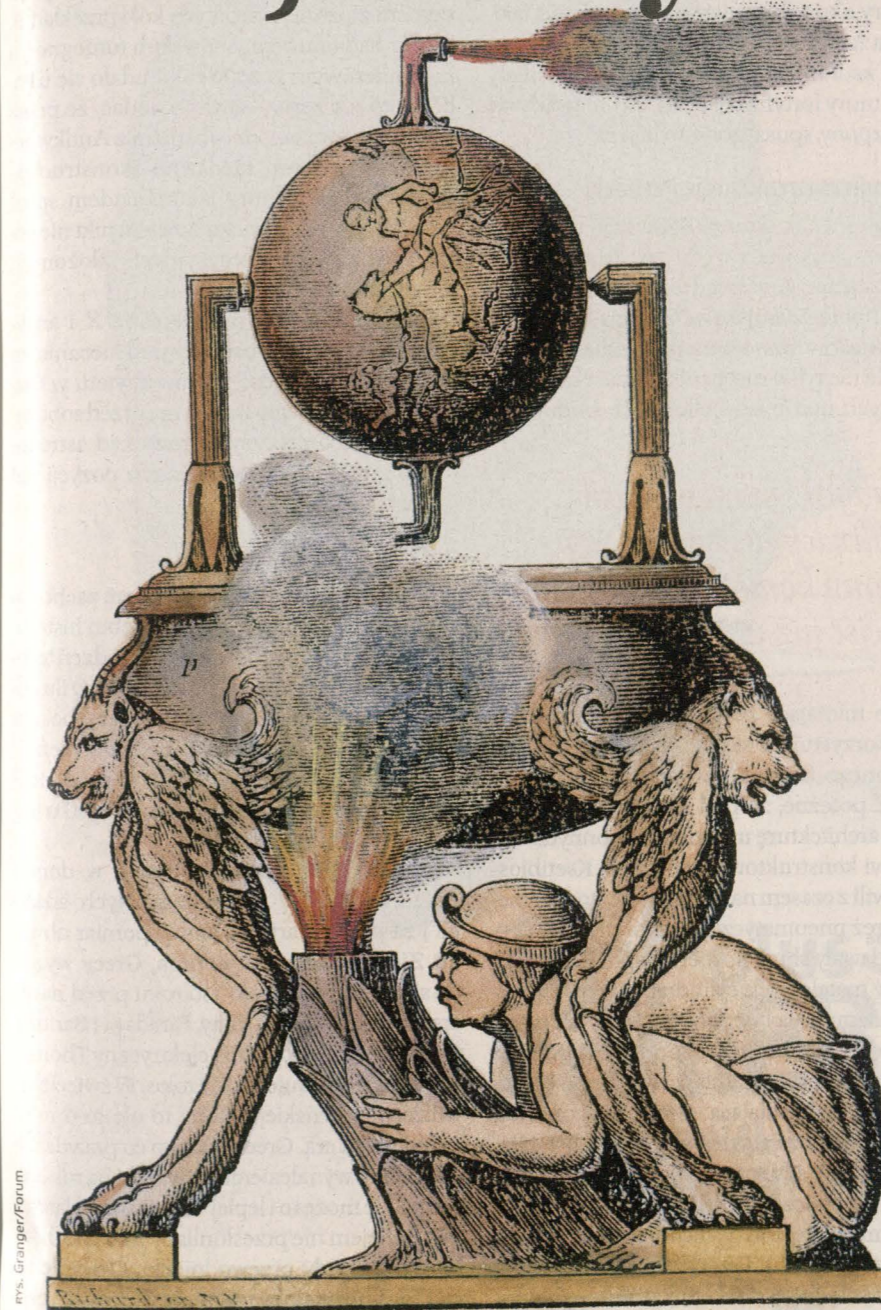
Znaczące, że zdarzyło się to ledwie wiek przed rewolucją przemysłową w Anglii, którą uważa się za pierwszy etap formowania dzisiejszego świata. Około 1710 roku Thomas Newcomen, opierając się na niewiele starszych pomysłach Savery'ego i Papina, skonstruował pierwszy funkcjonalny silnik parowy (skądinąd nie bez pośrednich wpływów starożytnej myśli greckiej). Pół stulecia później James Watt udoskonalił tę konstrukcję na tyle, że można było myśleć o jej poważnych zastosowaniach nie tylko w pompach, do których pierwotnie trafiła. Wymyślony przez Watta mechanizm zamiany posuwisto-zwrotnego ruchu tłoków na ruch obrotowy dał z czasem moc automatycznym wyciągarkom, auto-

mobilom, prasom drukarskim. I nie były to konstrukcje szalenie złożone ani nawet wyrafinowane w swym założeniu – w prosty sposób wykorzystywały siłę, której istnienia świadomi byliśmy od zarania dziejów, obserwując podskakiwanie pokrywki nad gotującą się w garnku strawą. Czy trzeba było czekać niemal dwa milennia, abyśmy odkryli te oczywistości? Czy nie mogliśmy dokonać skoku cywilizacyjnego wcześniej? Co się stało?

## Barbarzyńcy wstrzymują historię

Mogliśmy, byliśmy blisko, zaledwie o krok. Grecy wykorzystywali siłę pary już stulecia przed naszą erą, lada chwila któryś musiał wpaść na pomysł skonstruowania silnika parowego do różnorodnych praktycznych zastosowań. Nie doszło do tego z powodu kulturowego kataklizmu – inwazji barbarzyńców. A po zduszeniu kwitnącej cywilizacji greckiej, o wiele bardziej zaawansowanej technologicznej, niż dziś zwykło się pamiętać, spuścizny po niej nie byli w stanie przejąć i rozwijać ani prymitywni najeźdźcy Rzymianie, ani ich następcy, którzy przez długie wieki decydowali o losach Europy, chrześcijanie.

Rangę symbolu ma z tej perspektywy fakt, że zagładę państw hellenistycznych zapoczątkowało zdobycie Syrakuz w 212 roku przed naszą erą, podczas którego zginął Archimedes. Popełnialiśmy błąd, uważając Rzym z czasów wojen Republiki z Grecją za kulturę równie wyrafinowaną jak tę z późniejszych czasów Horacego. Rozwścieczony prosty żołdak, który zamordował myśliciela z Syrakuz, był nie wyrzutkiem, niestety, ale reprezentatywnym przedstawicielem ówczesnej społeczności. Rzym wyniosło na wyższy poziom cywilizacyjny dopiero przejęte dziedzictwo intelektualne Grecji. Najpierw jednak, gdy zburzeniem Koryntu w 146 roku przed naszą erą przypieczętowano kres kultury hellenistycznej, nastąpił niemal dwa wieki ciemności.



Opisana przez Herona pierwsza turbina parowa. Dwa tysiąclecia przed Newcomenem i Watem

W tym czasie wiele wiedzy przepadło. Prawdopodobnie nie przetrwały najcenniejsze z dzieł, albowiem były dla Rzymian zbyt hermetyczne, a zatem bezwartościowe. Gdy Rzymianie – już za Cesarstwa, w czasach Pliniusza i Seneki – wreszcie zaczęli się interesować nauką spuścizną po Grekach, było

na to za późno. Niewiele pism się ostało, niewiele z nich było w stanie pojąć. Marcello Cini, autor przedmowy do znakomitej książki włoskiego badacza Lucia Russa „Zapomniana rewolucja. Grecka myśl naukowa a nauka nowoczesna”, daje wymowny przykład degradacji oryginalnej myśli Hellenów w interpre-

tacji potomków ich najeźdźców. W traktacie o pszczołach Grek Pappos objaśnia sześciokątny kształt komórek plastra najwyższym wśród wielokątów foremnych – z których można ułożyć płaszczysznę – stosunkiem powierzchni do obwodu; chodziło zatem o ekonomię – najmniejsze zużycie wosku w stosunku do objętości miodu.

Co z tego wyniósł Pliniusz Starszy? Otóż według tego rzymskiego historyka „każda komórka jest sześcioboczna, bo każdy bok jest dziełem jednej łapki pszczoły”.

Skoro kwiat ówczesnych myślicieli Imperium tak bardzo odstawał poziomem od Greków z czasów największego rozkwitu hellenistycznej nauki i technologii, nie może nas dziwić długotrwały regres w tych dziedzinach. Z kolei gdy Rzym wreszcie zrozumiał, jaką szansę stracił, nie zdążył odbić się od tego, co przetrwało wśród zgliszczy, i przejść w fazę dalszego rozwoju. Nastąpiły długie wieki chrześcijaństwa, podczas których świat nauki nie miał warunków, by kwitnąć. Choć właściwie należałoby mówić, w odróżnieniu od religii opartej na idei miłości, o epoce „regichrześcijaństwa” – odwołującego się do chrześcijaństwa, ale w wielu aspektach niezgodnego z duchem tej wiary systemu podtrzymywania władzy. Tak jak w przypadku licznych starszych systemów parareligijnych – poprzez rząd bogobojnych, łatwych do trzymania w ryzach dusz.

Rewolucja technologiczna w Europie mogła zatem zaistnieć dopiero w okresie oświecenia. Czas ten przyniósł uszczuplenie znaczenia religii. W efekcie zmniejszeniu uległa potęga odwołujących się do religii systemów władzy opartych na sztywnych nakazach i restrykcjach blokujących swobodny rozwój myśli.

Ideologiczny gorset jest cechą religii monoteistycznych. W kulturach politeistycznych – jak grecka czy rzymska, które siłą rzeczy bez elementarnej tolerancji nie mogłyby istnieć – nauce nie groził podobny hamulec. Gdyby nie inwazja Rzymian – która przydarzyła się doprawdy w najgorszym możliwym momencie – helleniska cywilizacja naukowo-techniczna z dużym prawdopodobieństwem rozwijałaby się bez przeszkód. Załóżmy, że nie wolniej niż europejska w czasach, gdy oświecenie poluzowało kneble na tyle, że niektórym udało się je wypluć. Jak mogło to wyglądać? Czy w stulecie po dokonaniach Eratostenesa – gdyby półtorej dekady wcześniej Rzym nie zburzył Koryntu, ostatniej wolnej hellenistycznej polis – jakiś Grek uprzedziłby Newcomena i Watta, budując silnik parowy? To bardzo prawdopodobne. Nawet →



→ zgodnie ze stanem naszej szczątkowej wiedzy badania Greków nad wykorzystaniem pary były bardzo zaawansowane.

**Niezwykłe maszyny sprzed millenniów**

Wystarczy przyjrzeć się maszynom przedstawionym przez Herona z Aleksandrii w pracach, które przetrwały do naszych czasów. Trwa spór, czy Grek żył w I wieku naszej ery (co jest najbardziej prawdopodobne), czy wcześniej. Opisuje on rozmaite urządzenia wykorzystujące energię pary, energię wodną i wiatrową, maszyny zbudowane ze śrub, z zębatych przekładni i drążków, łańcuchów transmisyjnych, wałów krzywkowych, ze śmigieł, z tłoków, zaworów. Uważa się przy tym, że to tylko kompilacje z dawniejszych ksiąg – echa świetnej przeszłości. Bynajmniej nie najpiękniejsze perły zapomnianej myśli i technologii, ale przykłady na tyle proste, by współcześni Heronowi byli w stanie je zrozumieć.

A przecież nawet one robią dziś wrażenie. Machina znana jako bania Herona to nic innego jak prosta turbina parowa wprawiana w ruch parą wyrzucaną z dwóch dyszy. Heron opisuje urządzenie do pomiaru przejechanej przez pojazd odległości (czyżby już wtedy kompanie handlowe nadzorowały woźniców, bo defraudowali biopaliwo?), a nawet dystrybutor napojów na pięciodrachmówki. Tak jak w dzisiejszych automatach maszyna po wrzuceniu monety wydawała porcję płynu.

Nasza cywilizacja techniczna nie jest tak wyjątkowa i pionierska, jak się nam dziś zdaje.

Istnieje pogląd, że nawet ów powolny postęp techniczny, który miał miejsce w Europie w czasach przedoświeceniowych, w dużej mierze stymulowały klasyczne greckie traktaty technologiczno-naukowe odkrywane stopniowo przez wieki – zachowane czy to w palimpsestach, czy to w arabskich przekładach. Nawet niezwykle konstrukcyjne idee Leonarda da Vinci były echem pism greckich – wiadomo, że studiował Herona. To, że niektórych z projektów nie sposób było zrealizować w tamtych czasach, niekoniecznie musi oznaczać, że wyprzedzały epokę. Przeciwnie. Mogły być cieniem epoki, która dawno minęła, a do której cywilizacyjnego pułapu współczesnym da Vinciego nie udało się dorosnąć.

O tym, co potrafili starożytni Grecy, zanim zdeptał ich Rzym, świadczą strzępy relacji. Tak jednak wymownych, że czasem trudno w te zapiski uwierzyć. Oto jak wyglądał opór obrońców Syrakuz w bitwie, w której rzymski żołdak zabił Archimedes, konstruktora opisywanych machin wojennych. Za Plutarchem („Żywot Marcellusa”): „[Archimedes]

zaczął swoimi machinami miotać na wojska łądowe wszelkiego rodzaju pociski i głazy [...]. Niektóre okręty, chwycione żelaznymi szponami, były za pomocą przeciwwag podnoszone w górę i puszczane pionowo w dół [...]. Często patrzano z przerażeniem, jak uniesiony do góry okręt wprawiany był w rozkołys taki, że cała załoga wypadła na zewnątrz, po czym pusty kadłub z wielkim rozmachem ciśnięty był w mury fortyfikacji bądź, gdy rozwarły się owe szpony, spuszczone do morza”.

**Tajemnicze przekładnie i zębki**

Przypisanie tak skomplikowanych urządzeń jednemu człowiekowi to ze strony autora uproszczenie. Archimedes nie działał w próżni, technologie wojskowe Greków były wynikiem wieków rozwoju nauk i mechaniki. Przy udziale nie tylko mechaników, ale i najwybitniejszych uczonych helleńskich budowano

*Gdyby Rzym nie zdusił cywilizacji helleńskiej, era telefonii komórkowej mogłaby nadejść już w II wieku*

bronie miotające pociski, oszczepy i strzały wykorzystujące zasadę elastyczności ciała skręconego (ściągną lub włosie) – niektóre na tyle potężne, że pod ich wpływem zmieniono architekturę umocnień obronnych. Postępowi konstruktorzy, zwłaszcza Ksetibios, postawili z czasem na sprężyny ze stopów metali i oręż pneumatyczny, w którym siłę napędową dawały słupy powietrza sprężane przez tłoki w metalowych cylindrach. Precyzja wykonania musiała być wielka, skoro, jak twierdzi Filon z Bizancjum, rozprężone powietrze miotało kamienne pociski na odległość bardziej niż zadowalającą. Grecy dysponowali zatem wystarczającym warsztatem, by stworzyć sprawny silnik tłokowy – gdyby dano im czas na dokończenie badań nad parą.

Nie mniej efektywne technologie wykorzystywano w cywilu. Przetrwały do czasów nowożytnych opisy ciężkich kamiennych wrót świątyni otwierających się automatycznie, gdy płonął ofiarny znicz (drzwi wprawiała w ruch ukryta maszyna oparta na zasadzie różnic w ciśnieniu powietrza i właściwościach płynów). Gdzie indziej wrota rozsiewały się po lekkim dotknięciu kapłana za sprawą ukrytych w murach parowych automatów.

Najbardziej dobitnym dowodem zaawansowania technologicznego Greków sprzed

ponad dwóch tysięcy jest artefakt znany jako mechanizm z Antikythery, pochodzący z II wieku przed naszą erą. Na urządzenie trafił w 1900 roku grecki nurek Elias Stadiatos. Badając wrak starożytnego statku handlowego, znalazł fragment skomplikowanej maszyny złożonej z zębatych kół i przekładni. Dzięki badaniu rentgenowskim tomografem komputerowym w 2006 roku udało się ustalić, że to nie zegar – a warto dodać, że przez długi czas uważano mechanizm z Antikythery za stosunkowo niedawno skonstruowany chronometr, który jakimś cudem spadł na wrak. Do XVIII wieku bowiem nikt nie potrafił tworzyć tak precyzyjnych, złożonych urządzeń.

Po prześwietleniu promieniami X i analizie cyfrowej zespół badaczy pod kierunkiem Mike’a G. Edmunda z Uniwersytetu w Cardiff doszedł do wniosku, że ma przed sobą zdziwiająco precyzyjny przyrząd astronomiczny służący do obliczania pozycji ciał niebieskich.

**Co przegraliśmy?**

A przecież to tylko przypadkiem zachowany i odnaleziony odprysk z głębin historii. Ile równie wyrafinowanych urządzeń technicznych bezpowrotnie zaginęło? O ilu odkryciach i ideach Hellenów nie wiemy, bo nikt ich nie przechował? Bo barbarzyńscy najeźdźcy nie troszczyli się o to, czego nie rozumieli? Bo pszczoła ma sześć łapek i to wszystko tłumaczy, po cóż drążyć głębiej?

Załóżmy, że Rzymianie zostali w domu. Że trzymając się chronologicznych analogii i za punkt startowy biorąc pomiar obwodu Ziemi przez Eratostenesa, Grecy wynajdą silnik parowy około 130 roku przed naszą erą. Po osiągnięciach Volty, Faradaya i Barlowa pierwszy działający silnik elektryczny Thomas Davenport zbuduje w 1837 roku. W świecie cywilizacji helleńskiej byłoby to około 6 roku przed naszą erą. Grecki Edison co prawda nie zdążyłby z wynalezieniem żarówki na rok „zerowy”, ale może to i lepiej – luna światła latami nad Betlejem nie przesłoniłaby trzem królom blasku gwiazdy przewodniczki. Oświetlenie elektryczne miałoby premierę w circa 36 roku naszej ery. Przyjmując, że naszej cywilizacji telefonia mobilna z prawdziwego zdarzenia przydarzyła się w latach 90., z komórki mógłby już dzwonić cesarz Imperium Greckiego (z prowincją rzymską) w drugiej połowie II wieku – w naszej odnodze historii to czasy władania Rzymem przez Marka Aureliusza (lata 161–180).

Szkoda, że barbarzyńcy zazwyczaj są górą. •

Jacek Majchrowski  
Prezydent Miasta Krakowa  
zaprasza

08-17.04.2011  
KRAKÓW



OFF plus   
camERA

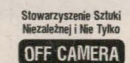
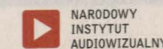
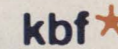
INTERNATIONAL FESTIVAL  
OF INDEPENDENT CINEMA

www.offpluscamera.com

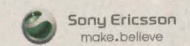
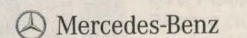
Sponsorzy główni:



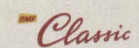
Mecenasi:



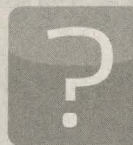
Partnerzy:



Patroni medialni:



## TEŻ PYTANIE



Zadaj pytanie, odpowiemy na nie. Jeśli coś cię nurtuje, a nie wiesz, kogo spytać, pisz na adres [nauka@przekroj.pl](mailto:nauka@przekroj.pl). Za najciekawsze pytania przyznajemy nagrody

URSZULA DĄBROWSKA



### 1. Jak to się dzieje, że z płynnej śmietany można zrobić bitą, sztywną jak ciało stałe?

Śmietana to mieszanina wody, białek, minerałów i tłuszczu. W stanie płynnym znajduje się jedynie pierwszy z wymienionych składników. Reszta to cząsteczki – bardzo małe ciała stałe – zawieszane w rozpuszczalniku. O konsystencji bitej śmietany decydują kwasy tłuszczowe (dlatego właśnie nie można ubić mleka, soku owocowego czy herbaty). Te związki mają specyficzną budowę. Każda cząsteczka bowiem składa się z części lubiącej towarzystwo wody i fragmentu, który jej nie znosi. Naukowcy nazywają je odpowiednio stroną hydrofilową i hydro-

fobową. W śmietanie cząstki kwasów tłuszczowych gromadzą się w taki sposób, aby na powierzchni utworzonej w kontakcie z wodą kulki znajdowały się fragmenty hydrofilowe, a te drugie, niecierpiące H<sub>2</sub>O – w jej środku. Gdy zaczynamy energicznie mieszać trzepaczką, rozbijamy ten układ. Gromadki kwasów tłuszczowych rozprzeczają się i szukają innego sposobu, by nie dotykać stronami hydrofobowymi wody. Co robią? Otaczają nimi bąbelki powietrza. W ten sposób powstaje przestrzenna struktura. Rusztowanie z kwasów tłuszczowych tworzy osobne przedziały dla wody (i białek), a osobne dla powietrza. To już prawdziwe zjednoczenie trzech stanów skupienia: płynnego, stałego i gazowego.

### 2. Co się dzieje z atomami naszego ciała po śmierci? Czy znikają w niebycie?

W przyrodzie nic nie ginie, tylko zmienia właściciela. Tak jest też z materią, z której zbudowany jest nasz organizm. Po śmierci czekają nas zwykle dwie możliwości – spalanie albo pogrzebanie. W pierwszym wypadku woda (do trzech czwartych naszego ciała) wyparuje, a związki organiczne utleniają się do dwutlenku węgla i cząsteczek wody. Wszystko zaś trafia do atmosfery. Zostaje jedynie garstka popiołu, czyli minerały niepalne. Zakopane w grobie – nie bójmy się tego powiedzieć – użyźniają ziemię. Podobnie jak zwłoki. Choć w tym przypadku proces rozkładu jest bardziej skomplikowany. Pomijając drastyczne opisy: cząsteczki naszego ciała wracają do obiegu materii we Wszechświecie. Warto sobie uzmysłwić, że ten obieg funkcjonuje po naszej śmierci tak samo jak przed naszym narodzeniem. Atomy, które dziś tworzą nasze ciało, mogły przed wiekami budować rośliny, zwierzęta lub innych ludzi. Natomiast o węglu, tlenie i azocie (oraz wszystkich ciężkich pierwiastkach) możemy ze stuprocentową pewnością powiedzieć jeszcze więcej – kilka miliardów lat temu wszystkie powstały we wnętrzu gwiazdy.

### 3. Dlaczego napój alkoholowy nazwano Ogonem Koguta?

Teorii jest wiele. Najbardziej prawdopodobną rozprawia się z podwójnym znaczeniem obu słów tworzących nazwę tego koktajlu. *Cock* to też kran – zupełnie jak w języku polskim, gdzie od kura koguta powstał kurek kranik. Z kolei słowem *tailings* barmani określali resztki alkoholu na dnie butelki. Przygotowywali z nich przypadkowe mieszanki, które bez względu na skład nazywali *cock-tailingsami*. Były one bardzo popularne, bo kosztowały mniej niż zwykły alkohol. W końcu nazwę skrócono. Wiele osób wierzy, że przyjęła się tak dobrze, bo kolorowe drinki kojarzą się z ogonem ptaka. Ale to mało prawdopodobne – w czasach, o których mowa (początek XIX wieku, Nowa Anglia w USA), napoje spirytusowe nie miały tak żywych barw jak dziś.

### Nasze nagrody:



Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak;  
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA KORZYSTAJ

### Ekspres, który parzy dwa razy

Podobno kawa, w przeciwieństwie do zielonej herbaty, najlepszy aromat i smak ma wtedy, gdy jest parzona krótko (i tylko raz!). Ekspres

Siemensa z serii EQ.7 Plus mieli porcję kawy, wyciąga z niej to, co najlepsze – nie za długo, jak ma wtedy, gdy jest parzona krótko (i tylko raz!). Ekspres

kolejną porcję i powtarza rytuał. Tak wypełnia się przeznaczenie tudzież Filizanka Marzeń. Ceny modeli z serii Siemens EQ.7 Plus: od 3899 do 5199 zł.



## Echo na każde oko



Jeśli nowy telefon Kyocery okaże się jaskółką upragnionych przez rynek zmian, czeka nas era smartfonów z dwoma pełnoprawnymi ekranami

Któryś z producentów smartfonów w końcu musiał na serio potraktować ten pomysł. Idea dwóch ekranów najpierw zakwitła w świecie komputerów przenośnych – ten drugi, dotykowy ekran miał wyświetlać i klawiaturę, i co tylko twórcy oprogramowania mogli sobie wymarzyć. Na przykład po obróceniu o 90 stopni netbook udawał elektroniczną książkę z tekstem na obu wyświetlaczach. Projektanci telefonu Kyocera Echo zapewniają, że oba 3,5-calowe ekrany (480x800) mogą symulować jeden duży, o 4,7-calowej przekątnej (960x800). Działając osobno, obsługują dwie niezależnie uruchomione aplikacje. Mogą też uzupełniać się w tym samym programie – na przykład górny ekran wyświetli film, a dolny menu wirtualnego odtwarzacza lub napisy. Czy to się przyjmie? Najpierw, 17 kwietnia, Kyoce-



Producenci telefonów systematycznie zwiększają powierzchnię wyświetlaczy, Kyocera w Echo nawet przez pączkowanie. Są jednak i tacy, którzy obrali przeciwny kierunek. Złocony AE + Y z lilipucim dwucalowym ekranem kosztuje 42 tysiące euro

### Jak spacyfikować potwory

Zgrozo dalekich podróży z nieletnią menażerią na tylnym siedzeniu! Jak uniknąć tych pisków, płaczów, wzajemnych podszczypywanek i ciągnięcia za włosy? Jest metoda: przenośne odtwarzacze DVD Philipsa. Modele PD9030 i PD7030 pozwolą odsłuchać pły-

ty z muzyką, obejrzeć zdjęcia lub film – jakiegoś „Ślonika Dumbo” lub „Siódmą pieczęć” Bergmana, co kto lubi. PD7010 i PD7032 – z dwoma oddzielnymi ekranami, by bawiły się dwie osoby – dodatkowo oferują gry wideo. Ceny od 539 do 779 zł.



Netbook za 1 zł  
Orange kusi do surfowania po Internecie w ramach Orange Free. Za marchewkę służy netbook HP Mini 210 z wbudowanym modułem 3G



Odtwarzacz DVD Philips PD7010 za 539 zł ma siedmiocalowy ekran. W zestawie bezprzewodowy kontroler do gier



**Tosia traci wzrok...  
Możesz odmienić jej los.  
Pomóż!**

**Tosia czeka na Ciebie!**

**1% od**

**NUMER KRS: 000037904**

**WNOSKOWANA KWOTA:**  
Odpowiednio obliczony 1% od kwoty podatku po zaokrągleniu do pełnych dziesiątek groszy w dół

**INFORMACJE UZUPEŁNIAJĄCE (128):** ANTONINA PAPAJ – 10566  
więcej informacji: [www.blog.tosia.net.pl](http://www.blog.tosia.net.pl)





# Marilyn Monroe: mówią rzeczy

**C**o jeszcze można napisać o Marilyn Monroe? Co można dodać do opowieści pracowicie snutej od niemal pół wieku (aktorka zmarła w 1962 roku) przez armię dziennikarzy, dokumentalistów, biografów? Wiadomo – była symbolem seksu. Była też biedną sierotką zagubioną w Hollywood. Była kapryśną gwiazdą. Wariatką. Męczennicą. Nierozgarniętą blondynką. Była niezwykłą aktorką. Była żadną aktorką. Była ambitna. Była rozpuszczona. Interesowały się nią brukowce, magazyny kobiece i poważne dzienniki. Jej fenomen badali intelektualiści.

Pisarz Truman Capote nazwał ją „pięknym dzieckiem”. Dla pisarza, scenarzysty i reżysera Normana Mailera była „jedną z ostatnich arystokratek kina”. „Zachęcano ją, by była dziecinna, by była ozdobą; ceniono ją raczej za jej wygląd, a nie za to, co miała w głowie i w sercu” – uważała feministka i dziennikarka Gloria Steinem, a pisarka Joyce Carol Oates dodawała: „Postrzegala siebie jako zebrazkę, którą przez pomyłkę wzięto za księżniczkę. Ale zaczęła grać księżniczkę i to ją zniszczyło”.

Niektórzy nie bawią się w tak poważne analizy. Wydane właśnie w Polsce „Rozważania psa Mała i jego przyjaciółki Marilyn Monroe” (Świat Książki) Andrew O’Hagana to opowieść o aktorce z perspektywy... czworonoga, niejakiego Mała, białego pudła, którego aktorka rzeczywiście dostała kiedyś od Franka Sinatry.

Jest więc Marilyn pisarzy, Marilyn żołnierzy, Marilyn wielbicieli teorii spiskowych, Marilyn psychoanalityków, Marilyn fotografów, Marilyn kinomanów, Marilyn drag queens, Marilyn artystów: malował ją Andy Warhol, sztukę o niej wystawił Krystian Lupa, a Woody Allen trzyma nad kominkiem jej portret.

„Choć dla wszystkich jesteś, nie ma ciebie nikt” – śpiewał onegdaj o jakiejś Magdalenie zapomniany zespół Vox. Ale te słowa pasują – niczym platynowy blond – także do Marilyn Monroe. Każdy ma swoją Marilyn i każda epoka potrzebuje nowej. Zdumiewająca jest żywotność tego mitu. Kim więc jest Marilyn na nowe czasy?

## Marilyn z „Ulissesem”

To intelektualistka, a przynajmniej osoba z literackimi ambicjami, autorka poezji, pilna czytelniczka i studentka („Filozofia grecka – złoty

Lada moment do księgarń trafią „Fragmenty. Wiersze, zapiski intymne, listy” autorstwa jednej z największych legend kina. Czy ujawniane właśnie kolejne archiwa aktorki pokazują nam wreszcie całą prawdę o Monroe?

A może mówią prawdę o nas?

MALGORZATA SADOWSKA

środek – ani nie za dużo, ani nie za mało” – zapisuje w jednym z notesów). Redaktorzy „Fragmentów” (Wydawnictwo Literackie, przełożyła Agata Kozak) robią wszystko, by raz na zawsze rozprawić się z wizerunkiem seksualnej blondynki. Książka składa się z archiwów Marilyn odnalezionych niespodziewanie przez Annę Strasberg, trzecią żonę Lee Strasberga, założyciela Actors Studio, wieloletniego nauczyciela i powiernika aktorki.

Są tu pisane na maszynie listy i wspomnienia, są notesy z zapełnionymi waledwami kilkoma stronami, czasem są to pojedyncze zdania („Mając poczucie samej siebie”). Pospiesz-

ne, trudne do rozszyfrowania, pełne podkreśleń i podkreśleń odręczne notatki na hotelowym papierze. Luźne kartki wyrwane z notesów albo takie jak ta z nagłówkiem towarzystwa ubezpieczeniowego, na której zapisze przepis na danie z podrobów (do niego jeszcze wróć).

Są wreszcie wiersze, choć zważywszy na to, że obok tłumaczeń mamy reprodukcje oryginalnych stron z zapiskami, można niekiedy odnieść wrażenie, że redaktorzy książki Stanley Buchthal i Bernard Comment na własną rękę zamieniają w poezję notatki („Beethoven/6 ostatniej kwartetów/Ravel – walc/Bar-



PHOT. BOB BEERMAN DZIĘKI UPRIJMOŚCI WYDAWNICTWA LITERACKIEGO

”

[...] Masz wszystko oprócz dyscypliny i techniki, której się uczysz i poszukujesz samodzielnie – w sumie niczego nie dostałaś i nie dostajesz za darmo – nic w twojej pracy nie spadło ci z nieba, musiałaś to znaleźć [...]

MARILYN MONROE

Mężczyźni wolą blondynki, ale blondynki wolą książki. Nie wiadomo, gdzie przyłapano Marilyn Monroe na czytaniu biografii Goi. Wiadomo jedynie, że zdjęcie powstało około 1953 roku

tók – kwartety/ciąg dalszy na następnej stronie/listy nagrań”).

„Fragmenty” są zbiorem zapisków z różnych etapów życia Marilyn Monroe i jeśli coś je łączy, to powracający wątek braku pewności siebie: „Obawa przed nowym tekstem/ może nie będę zdolna się go nauczyć/ może

będę się mylić/ludzie pomyślą że jestem niedobra albo mnie/wyśmieją albo zlekceważą albo uznają że nie umiem grać”. Pośród autoanalitycznych wywodów, obietnic składanych sobie samej, opisów stanów psychicznych i uwag dotyczących pracy nad rolami trafia się nagle rozpaczliwe wyznanie, najbardziej

chyba przejmujący ze wszystkich zgromadzonych tu zapisków, choć raczej utrwalający naszą wiedzę o Marilyn jako głęboko nieszczęśliwej osobie, a nie przynoszący odkrycia:

„Sam!!!!  
Jestem sama – zawsze jestem sama  
Cokolwiek by się działo”.



→ Marilyn zajęta pisaniem, a nie wabiąca nas rozchylonymi ustami, seksowną pozą, przymglonym spojrzeniem: już okładka „Fragmentów” sugeruje, że to zupełnie inna książka o Monroe (tak jak fakt, że piękny wstęp napisał do niej włoski pisarz Antonio Tabucchi). Pozostałe fotografie też niosą jasny komunikat: oto Marilyn z „Ulissesem”, Marilyn na trawniku ze „Źdźbłami trawy”, w książce z „Śmiercią komiwojażera”. Redaktorzy „Fragmentów” z dumą donoszą, że jej biblioteka liczyła 400 tytułów.

Marilyn z poetką Edith Sitwell, z pisarką Karen Blixen, ze wspomnianym już Trumanem Capote'em (tańczą, on niższy od niej o głowę, na twarzy wyraz straszliwej męki, ona rozsyła wokół uśmiechy). Ów dobór służy temu, by osadzić aktorkę w nowym kontekście, choć równie dobrze można by ułożyć książkę z jej zdjęć z kieliszkiem w dłoni albo tych w łóżku, albo tych z papierosem (tu jako bonus można dołączyć odnaleziony niedawno filmik, na którym aktorka pali trawę – bez zaciągania).

Rodzina Strasbergów i redaktorzy „Fragmentów” chcą, byśmy zobaczyli Monroe bardziej ludzką niż gwiazdorską; nieślychąnie wrażliwą, inteligentną, samoświadomą. Na ziemię mit chce sprowadzić także wydana w Stanach przed kilku miesiącami „MM – Personal”, wyciąg z kolejnego odnalezionego po latach archiwum. Tym razem chodzi o zawartość dwóch szafek, które widnieją na zdjęciu w książce niczym dowody zbrodni.

**Jak pijany marynarz**

Oto kolejny zdumiewający fakt: choć od śmierci Monroe minęło niemal pół wieku, wciąż wypływają nowe zdjęcia, zapiski, dokumenty, przedmioty, taśmy – jakby jej biografia była niewyczerpana, jakby dawała się pisać bez końca. Jakby gdzieś pod ziemią (albo raczej w Chinach!) przez całą dobę pełną parą pod szyldem „MM – memorabilia” pracowała tajna fabryka wypluwająca z siebie czeki, listy, futra, pukle blond włosów, fotografie, filmy, butelki z niedopitym szampanem...

Historia wspomnianych szafek (szarej i brązowej), w których czeluściach przed zaledwie paru laty odnaleziono tysiące dokumentów, jest długa i skomplikowana. Dość, że ich właściciel Millington Conroy, potomek jednej z asystentek Marilyn Monroe, musiał iść na ugodę ze Strasbergami, którzy na mocy testamentu roszczą sobie prawo do opieki nad całą spuścizną aktorki. O istnieniu bezcennych zbiorów poinformował Annę Strasberg fotograf Mark Anderson, któremu Conroy po-



Fot. Cecil Beaton dzięki uprzejmości Wydawnictwa Literackiego

**Fotografia** zrobiona przez Cecil Beaton w nowojorskim hotelu Ambassador w lutym 1956 roku była ulubionym portretem Marilyn Monroe. Beaton napisał kiedyś o swojej modelce z emfazą: „Wynurzyła się z ciemności, by stać się symbolem seksu naszych czasów”

zwolił zrobić zdjęcia archiwum – Anderson zaczął podejrzewać, że Millington Conroy chce wyprzedać skarby Marilyn na czarnym rynku. Prawna bitwa o dwie szafki oraz kolekcję futer, biżuterii i niepublikowanych dotąd zdjęć trwała w cieniu, podczas gdy światło dzienne ujrzała „MM – Personal”, książka ze zdjęciami Andersona, na których widnieją między innymi rachunki za futra i trzy tomy „The Life and Works of Sigmund Freud”, za luncha, buty, sesję psychoterapeutyczną u doktor Marianne Kris, sprawozdania finansowe, listy od i do fanów, wizytówki, podpisane przez gwiazdę czeki et cetera. Odpowiednie dać rzeczom słowo zdecydowała się na łamach książki profesor Lois Banner. Badaczka zajmująca się już wcześniej życiem Monroe jest przekonana, że – jak wyznała w „Vanity Fair” – archiwum aktorki pokazuje nam „inną stronę Marilyn, której nie ma w biografiach. Pozwała głębiej zrozumieć, kim była jako prywatna osoba”.

Rzeczywiście, prywatne archiwa artystów bardzo często dostarczają nam unikatowej wiedzy i osadzają ich twórczość w niezna-

nym dotąd kontekście, rzucając nowe światło na artystyczne motywacje. Przypadek Monroe jest jednak skrajny: przede wszystkim dlatego, że w niewielkim stopniu chodzi tu o jej aktorstwo, o filmy. A także dlatego, że każdy skrawek papieru zapisany jej ręką ma wartość bezcennego dowodu w śledztwie, każdy rachunek poddany jest ocenie. „Wydawała pieniądze jak pijany marynarz” – wyrokuje feministka Lois Banner. A dziennikarze zacytują skądinąd kolumn o jedzeniu „Food & Drink” biorą pod lupę zanotowany przez Marilyn przepis na podroby z kurczaka. Nie dość, że ugotowali danie, to na dodatek wnikliwie zanalizowali składniki (moczonej bułki? A cóż to za dziwny pomysł? I czemu kilka rodzajów orzechów?) i odbyli naradę z autorytetami w dziedzinie kulinariów, by dojść do bezcennego wniosku, że prawdopodobnie aktorka wzięła przepis od włoskiej rodziny jednego ze swych mężów, bejsbolisty Joego DiMaggio.

Przez żołądek do serca Marilyn? Przez rachunki do jej duszy?

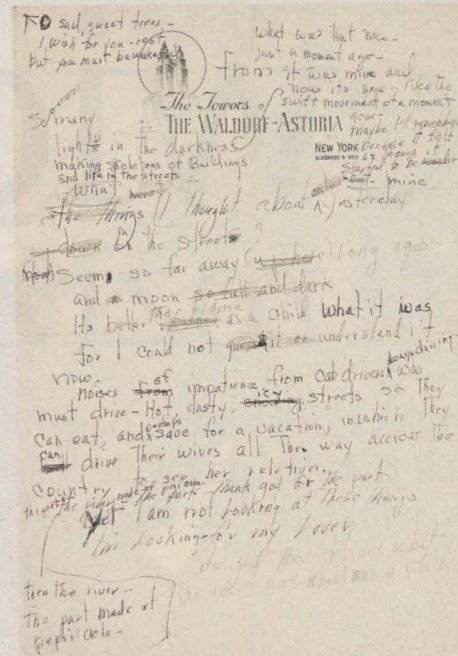
Żadna inna persona nie została poddana tak wnikliwej publicznej wiwisekcji, za którą stoi

najwyraźniej potrzeba ogarnięcia, zdefiniowania i skatalogowania fenomenu, jakim była Monroe. Jakby kolejne papiery czy futra, kolejne „odnalezione” przedmioty (wśród których mnóstwo jest fałszywek, by wspomnieć tylko pukiel włosów wystawiony niegdyś w muzeum, a pochodzący z lat 70.) były jak kawałki puzzli, z których pewnego dnia uda się ułożyć prawdziwy, kompletny portret Marilyn Monroe. Obawiam się jednak, że mógłby wyglądać, jakby wyszedł spod ręki Pabla Picassa.

**Pokaż, kotku, co masz w środku**

Parasolka, kieliszek do szampana, program jej pogrzebu, kubek na ołówki, stołeczek pod stopy, kozetka, na której leżała podczas psychoanalitycznych sesji u doktora Ralpha Greensona, sukienka, w której śpiewała „Happy Birthday” Johnowi F. Kennedy’emu, rachunek za szofera, nieznan film z planu „Skłóconych z życiem”, krzesło, na którym siedziała podczas ostatniej w życiu sesji, piąno, ślubny pierścionek, butelka Chanel No 5, bielizna nocna, swetry i koszule, podpisane czeki, korespondencja, dokumenty bankowe i rozwodowe, kontrakty ze studiami, zdjęcia. A poza tym meble, futra, biżuteria, torby, buty, zegarki, ubrania – to wszystko trafiło kiedyś pod młotek. Podobnie jak miejsce koło niej na cmentarzu w Beverly Hills. „Jest na szczycie” – przyznał Darren Julien z Julien’s Auctions, domu aukcyjnego, który w zeszłym roku wyprzedawał kolejny zestaw rzeczy Monroe. Wiedział, co mówi. W końcu tylko jedna aukcja (zwana do dziś „wyprzedają stulecia”) z Christie’s z 1999 roku przyniosła ponad 13 milionów dolarów. Nic więc dziwnego, że Marilyn Monroe znajduje się w czołówce najlepiej zarabiających po śmierci gwiazd.

Czy wiecie, że na jednej aukcji wystawiono nawet zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej MM? (Poszło za 20 tysięcy dolarów). Trud-



Rok 1955. Marilyn mieszka w hotelu Waldorf Astoria. Na firmowym papierze notuje przepisy, obserwacje, wiersze

no o lepszą metaforę – chcielibyśmy Monroe raz na zawsze prześwietlić, zobaczyć, co ma w środku, i wywlec to na światło dzienne. Ona sama we „Fragmentach” przywołuje sen lękowy, w którym Strasberg ją operuje, lecz otworzywszy brzuch, znajduje w środku jedynie trociny. Jest bardzo rozczarowany, a ona przerażona, że tak go zawiodła.

Czy archiwa po Marilyn to coś więcej niż tylko trociny? Z pewnością, ale też przekonanie żony Strasberga, które wyraziła w rozmowie z „Vanity Fair”, że „im więcej należących do niej rzeczy będzie zgromadzonych w jednym miejscu, tym większą mamy szansę zobaczyć prawdziwą Marilyn, a nie jej karykatu-

rę”, wydaje się prawdziwe jedynie częściowo. Wartościowe są bez wątpienia niektóre dokumenty i zapiski samej aktorki. Ale jaką prawdę można dziś wydrzeć zetłalym futrom? Butelkom Chanel No 5?

„Niewykluczone, że za kilka lub kilkadziesiąt lat odkryte zostaną nowe teksty autorstwa Marilyn” – pocieszają tych, którym wciąż mało, redaktorzy „Fragmentów” (czyżby rodzina Strasbergów zabrała się do wiosennych porządków?). Osoby mające dostęp do zbiorów Millingtona Conroya mogą przysiąc, że na własne oczy widziały listy prezydenta Kennedy’ego, które znów gdzieś zaginęły. Pewnego dnia zapewne ponownie o nich usłyszymy, wszak są paliwem dla legendy. Dodajmy, że bardzo cennym.

Kiedy czytałam o rzeczach Marilyn Monroe, prawdziwych, fałszywych, odnalezionych, zaginionych, w głowie dźwięczał mi pewien wiersz – poetki lepszej niż Marilyn, która też zmarła młodo (choć w zupełnie innych okolicznościach). Znalazłam go. A w nim fragment, który nie dawał mi spokoju. Pisany w czasie wojny wiersz „Non omnis moriar” Zuzanna Ginczanka dedykowała szmalcownikom, ale niektóre jej słowa na firmowym papierze hotelu Waldorf Astoria mogłaby kiedyś spospieszczenie zanotować Marilyn Monroe.

*„Niech przyjaciele moi siadą przy pucharze  
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:  
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze –  
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku  
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota  
W kanapach, materacach, koldrach i dywanach.  
O, jak będzie się palić w ręku im robota,  
Kłębły włosia końskiego i morskiego siana,  
Chmury prutych poduszek i obłoki pierzyny  
Do rąk im przylgną, w skrzydła zmieniają ręce obie;  
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym  
I uskerzydłone nagle w aniołów przerobi”.*

REKLAMA

www.mieszkaniowy.as

# Różewicz złożony i rozrzucony

W tym roku **TADEUSZ RÓŻEWICZ** obchodzi, bagatela, 90. urodziny. To jeden z największych europejskich pisarzy naszych czasów, który nie tylko wspaniale sportretował XX wiek, ale też stworzył nowy język jego opisu

TADEUSZ NYCZEK

**K**iedy w 2008 roku, mając 87 lat, wydał „Kup kota w worku”, jedną ze swoich najbardziej szalonych książek, przeżegnałem się z nabożną czcią. Takie tomy, złożone z piętrzących się form i gatunków, od wiersza po blog i scenariuszowe zapiski, pełne liryzmu, ironii i wściekłości, pisze się, mając lat 20, najwyżej 40, kiedy świat ma się wciąż jeszcze przed sobą do urzędzenia na nowo. Potem z latami złudzenia pryskają i pozostaje najwyżej lament nad utraconą wiarą w sprawcze moce literatury. A Różewiczowi ani w głowie było poddawanie się. Jeśli nawet zwątpił – nie tyle w cel pisania, ile w jego sens – także wtedy starał się przynajmniej podzielić z nami tym zwątpieniem. Pesymistą był zawsze, więc nie musiał przeżywać goryczy nagłych rozczarowań. Pisał swoje i myślał swoje.

W 2000 roku miał zaledwie 79 lat. Czterokrotnie przedstawiano jego książki do nagrody Nike i za czwartym razem, właśnie w tym roku, wreszcie się udało. Nie był to jednak jedyny powód, dla którego siadłem wtedy do nieżyjącego już dziś komputera i postanowiłem zrehabilitować się za wszystkie sarkazmy i złośliwości, które w dawnych latach na temat TR w rozmaitych o nim tekstach przemyślałem. Był bowiem okres (lata 70. i 80.), kiedy dziwnie go zniechęciłem; jego zgorzkniałość i weredyzm zdawały mi się niezbyt wiarygodną grą pisarza, który im bardziej był fetowany (bo przecież był), tym bardziej oskarżał świat o nieczułość i zaniechanie. Ale minęły lata i sam zgorzkniałem, i lepiej zrozumiałem Różewicza. Posypałem zatem głowę popiołem i napisałem niewiel-

ki tekst („Oto poeta wyjątkowy”, „Gazeta Wyborcza” z 2.10.2000), który gdym go na świeżo teraz przeczytał, wydał mi się nadal aktualny. Odwołam się na moment do pewnych jego sformułowań, bo po co szukać lepszych, skoro tamte, jak myślę, wciąż do sensu.

Tekst zaczynał się tak: „Fenomen Różewicza: bodaj najbardziej kłopotliwy polski pisarz drugiej połowy wieku. Niewygodny, wciąż

*Dzieło Różewicza, gigantyczne, wielopoziomowe, jest jak wielka samotna góra, która od lat przyrasta wciąż nowymi drogami, zabudowaniami*

wymyka się, drażni. Trudny, bo utrudniający. Nieustannie ze wszystkiego niezadowolony. Z Polski, Europy, świata, ludzi, Boga, literatury, życia i bodaj samego siebie. Rozgorączkowany, często zrozpaczony. Utworów, z których nie przezierająby ciemny smutek albo gorzka drwina, jest na lekarstwo. Nawet „Uśmiechy”, wczesny tom satyr wierszem i prozą, po czterdziestu kilku latach wznowiony, tylko w tytule są sympatyczne. W istocie to zgryźliwe obrazki z tużpowojennej Polski podszyte mizantropią samotnika uprawiającego swój ogródek z dala od załganego moralnie i politycznie środowiska pisarskiego. (...) Dzieło Różewicza, gigantyczne, wielopoziomowe, jest jak wiel-

ka samotna góra, która od lat przyrasta wciąż nowymi drogami, zabudowaniami. Pewne jej połacie wykruszają się i wypalają, inne trwają jak lasy szpilkowe, wiecznie zielone. Po siedmiu bez mała dziesiątkach lat od debiutu wyraźnie widać, że Różewicz, wbrew podejrzaniom literackich maksymalistów, skonstruował język, który przy całej swej minimalistycznej suchości potrafił opisać bardzo wiele z bogactwa świata. A przecież właściwie niewiele się zmienił. Tym językiem Różewicz opowiedział nie tylko los swojego pokolenia o »zagipsowanych ustach«, ale i swoistą historię PRL. To on najpełniej rozliczył ślady wojny, dał nazwę »naszej małej stabilizacji« lat gomułkowskich i chyba nikt lepiej od niego nie zaświadczył o konsumpcyjnej miślkości epoki gierkowskiej. Nieporównany jest także, zapisany w wielu wierszach i poematach, portret socjalistycznego Polaka zwiedzającego ówczesny Zachód, postawionego wobec

pomników dawnej i nowej cywilizacji. Porównanie z nim wytrzymuje bodaj tylko sławna »Moniza Clavier« Mrożka. Tym swoim pozornie suchym, obojętnym językiem umiał Różewicz opisać zarówno śmierć brata i matki, jak i żywioł erotyki; poemat »Regio« czy dramat »Białe małżeństwo« pozostają do dziś wyjątkowo odważnymi literacko wyprawami w stronę fizjologii i psychologii seksualizmu. Prawda, ulegał też Różewicz, o dziwo, różnym stereotypom i zbiorowym mitologiom – on, zawsze tak podkreślający swoją osobność i niepodległość. We wczesnych latach 50. zdarzało mu się piętnować miazmaty zgniłego kapitalizmu. Ulegał propagandzie gniewu na tych,



Nie może już na nas patrzeć, ale i tak widzi nas lepiej niż inni

REKLAMA

[www.mieszkaniowy.as](http://www.mieszkaniowy.as)

co konstruuja różne globalne bomby mające wykończyć naszą ziemską egzystencję. W latach 60. przyłączył się do światowego chóru biadającego nad przeludnieniem i ogólnym zaśmieceniem gadżetami kultury masowej. Inna sprawa, że te poetyckie gniewy owocowały czasem arcydziełami (poemat »Non-stop-show«, sztuka »Stara kobieta wysiaduje«), co samo w sobie starcza za argumenty. Sam poeta mógłby we własnej obronie powiedzieć, że po prostu wsłuchiwał się w głosy świata, bynajmniej nie stając z boku.

Zastanawiające natomiast, jak samoobronie, niemal instynktownie reagował na zbiorowe uniesienia odnowicielskie, powiedzmy polski Październik '56 czy Sierpień '80. Zamykał się, unikał udziału, nie ufał. Do stanu wojennego, podziemnej opozycji i niemal całych lat 80. odnosił się jednakowo abominacyjnie; zresztą mało co pisał i publikował, jakby załamany rozwojem spraw w kraju. Jego wrodzony pesymizm znalazł mocne argumenty, ale chyba nie o takie satysfakcje szło. Potem wrócił do pisania, niemal co roku, jak kiedyś, dając nową książkę. Nie polubił na starość świata i nadal daje temu wyraz w coraz bardziej zrezygnowanych bądź gorzko ironicznym wierszach. Na ich tle jak niespodziewany gest pojednania – z człowieczeństwem, dobrem, miłością i śmiercią – pojawił się niezwykle wielogłosowy i wielogatunkowy tom »Matka odchodzi« (1999), za który dostał Nike.

Tekst, którego fragmenty tu przytoczyłem, miał swój dalszy ciąg, ale zostawmy. Trzeba by jednak dopowiedzieć to, czego tam zabrakło, choćby parę słów na temat ostatniej dekady Różewiczowskiej twórczości. Otóż w pierwszej dekadzie nowego wieku znów powrócił do swojego ciemnego świata, publikując trzy świetne zbiory poezji: „Nożyk profesora”, „Szara strefa”, „Wyjście”. Także wspomniany już szalony, drapieżny, miejscami wręcz →

→ szyderczy wielogatunkowy tom „Kup kota w worku”, jedną z najlepszych książek całej dekady literackiej. Do swoich bojów z rosnącą płytkością kultury i cywilizacji dorzucił ciężki argument – konsekwencje pojawienia się Internetu i medialnej popkultury kreującej wizerunek współczesnego idola: plastikowego pajaca zaludniającego estrady muzyczne, telewizyjne show, hollywoodzkie kino i magazyny mody. Ten nowy golem stał się wzorcem do naśladowania produkującym zastępy bezmózgich następców opanowanych jedną namiętnością – sukcesem natychmiastowym i za wszelką cenę. Niczym bohaterowie zabawnego i gorzkiego filmu „Kosmiczni kowboje” o czterech starszych panach konkurujących z wysportowaną młodzieżą stary poeta ostatni raz staje do nierównej walki z umysłowym i obyczajowym śmietnikiem „nowego świata”. Wie, że przegra i że jego miejsce jest nad brzegiem rzeki, do której może najwyżej wrzucić kamyczki swoich wierszy. Mimo to podejmuje wyzwanie i z nieporównaną maestrią językową pisze antyblog stanowiący zasadniczą część „Kota w worku”.

Po „Pułapce” (druk i premiera w 1982 roku) właściwie zarzucił dramat. Wielka szkoda, bo z latami widać, że jego teatr nie tylko się nie starzeje, ale wręcz zyskuje – zwłaszcza na tle dramaturgii PRL, w dużej mierze dziś mieszkanca lamusa. Nieraz się zwierzał, że chciałby być reżyserem, a nie wyłącznie dostarczycielem tekstów. W 1992 roku marzenie się spełniło: we wrocławskim Teatrze Kameralnym odbył z aktorami 10 prób swojej debiutanckiej „Kartoteki”, która w zetknięciu ze sceną – trzydzieści kilka lat później – została najpierw „rozrzucana”, potem częściowo napisana na nowo; od tamtej pory funkcjonuje jako właśnie „Kartoteka rozrzucana”. Parę miesięcy temu ukazał się zbiór felietonów, wspomnień i korespondencji „Margines, ale...”.



Lata 60., Gliwice. Tadeusz Różewicz na spotkaniu z aktorami teatru studenckiego Step

Dziś poeta ma lat 90. Urodzony w Radosku, później mieszkaniec Gliwic, od 1968 roku mieszka we Wrocławiu. W 2010 roku wrocławska rada miejska ogłosiła 2011 Rokiem Różewicza. Kwiecniowy festiwal literacki Port Wrocław, zorganizowany tradycyjnie przez Biuro Literackie, będzie w dużej mierze poświęcony poecie i jego dziełu. W czerwcu pod egidą Teatru Współczesnego odbędzie się festiwal teatralny

## Święto poety

Obchody Roku Różewicza we Wrocławiu rozpoczną się 8 kwietnia. Na festiwalu Port Wrocław zaprezentowane zostaną nowe książki poety: zbiór opowiadań „Wycieczka do muzeum” (poszerzone wydanie z 1966 roku), „Margines, ale...”, znakomicie wydany reprint maszynopisu „Kartoteki”, bibliofilskie wydanie „Historii pięciu wierszy” oraz antologia „Dorzecze Różewicza”.

Będzie również wystawa rękopisów Różewicza

oraz widowisko oparte na jego wierszach z udziałem 24 innych poetów. Dwumiesięczną debatę internetową (marzec–kwiecień) pod tytułem „Czy Nobel zasłużył na Różewicza?” zamknie publiczna rozmowa Justyny Sobolewskiej, Jana Stolarczyka i Piotra Śliwińskiego. Zaplanowane są też pokazy filmów dokumentalnych o Różewiczu połączone z konkursem „Dorzecze Różewicza”.

Od 7 do 12 czerwca będzie można obejrzeć festiwal sztuk

TR zorganizowany przez wrocławski Teatr Współczesny. W programie między innymi „Białe małżeństwo” w reżyserii Krystyny Meissner, „Kartoteka” w inscenizacji Michała Zadary oraz „Pułapka” Gabriela Gietzky’ego. Będzie też kilka realizacji z innych polskich i zagranicznych scen. Do tego wystawy fotografii, Gala Konkursów Szkolnych na temat Różewicza, pokazy archiwalnych spektakli zarejestrowanych na taśmie filmowej i telewizyjnej oraz recytacje tekstów TR w przestrzeni miasta.

Różewicz Rozrzucony (szczegóły obu imprez w ramce poniżej).

Debatę internetową z udziałem poetów i krytyków zatytułowano przewrotnie „Czy Nobel zasłużył na Różewicza?”. W latach 70. bowiem autor „Niepokoju” był jednym z najważniejszych kandydatów do tej nagrody. Już-już miał ją ponoć dostać... Ale, jak głosiła ówczesna plotka, chyba bliska prawdy, ponieważ sam sobie zaszкодził. W 1976 roku, rok po polskiej prapremierze, w sztokholmskim Królewskim Teatrze Dramatycznym wystawiono „Białe małżeństwo”, sztukę na tyle drastyczną obyczajowo jak na tamte czasy, że noblowskie jury spanikowało. Szkoda? Pewnie, że szkoda. Mało kto tak zasłużył na Nobla jak Tadeusz Różewicz. Choć może dzięki temu współtwórca awangardy literackiej i teatralnej XX wieku uniknął pomnika w szacownym Muzeum Nowoczesności odwiedzanym głównie przez historyków kultury i teoretyków prądów zmiennych. Miejmy nadzieję, że wiosenne obchody utrzymają ten stan rzeczy. Różewicz ma jeszcze czas na zastąpienie w pomnikowej pozycji. No i na szczęście nie brakuje mu poczucia humoru.

# Biały Wilk powraca

Zwiedzałem świat „Wiedźmina 2”, jednej z najbardziej oczekiwanych gier. Szukałem drogi w kniei, śpiewałem miłosną pieśń demonicy i ratowałem z opresji chutliwego Jaskra. Stawiam mieszek talarów, że będzie dobrze

OLAF SZEWCZYK

Wydana w 2007 roku gra komputerowa „Wiedźmin” okazała się wymarzonego towarem eksportowym polskiej kultury. Zebrała świetne recenzje, do tego zdobyła wiele laurów dla najlepszego tytułu sezonu w gatunku RPG (Role-Playing Game). Do dziś kupiło ją 1,7 miliona osób. „The Witcher”, bo pod taką nazwą „Wiedźmin” znany jest w świecie, to już uznana marka. Na kontynuację czeka się w takim napięciu jak na nowy film Camerona. „Przekrój” jako jedna z niewielu polskich i europejskich redakcji otrzymał zaproszenie na prapremierowy pokaz nowej gry studia CDProjekt RED.

Poznałem fragment drugiego rozdziału. Jako Geralt z Rivii przeprowadziłem śledztwo w sprawie tajemniczych morderstw w niewielkiej osadzie, co wymagało odwiedzenia paru miejsc, przeprowadzenia paru rozmów i zaszłachtowania paru kreatur (jak na grę opartą na sadze Andrzeja Sapkowskiego przystało, ludzie nierzadko okazują się gorsi niż potwory). Twórcy gry podkreślają, że głównym atutem „Wiedźmina 2” będzie opowieść, a tej nie sposób ocenić tylko po epizodzie. Jednak nawet tak skromna próbka przekonuje, że grę robiono z sercem i z ambicjami.

Miłośnicy gier fabularnych docenią dotrzymanie obietnic o różnorodności wyborów i rzeczywistych konsekwencjach podjętych decyzji. Przekonał mnie o tym test sprawdzający, jakim jestem Jaskrem – chutliwym i głupim czy tylko chutliwym.

Panowie, bądźmy szczerzy: w każdym z nas siedzi Jaskier. Rzecz w tym, na ile pozwalamy mu brykać. W „Zabójcach królów” wcielimy się na chwilę w tego nicponia: barda i dandysa. Jaskier, jak powszechnie wiadomo matkom nadobnych pannań w wieku reprodukcyjnym, jest największym zagrożeniem cnoty ich niewinnych pociech. Tu ma zaśpiewać nocą miłosną balladę dla sukubki – demonicy o ciele diabła atrakcyjnej kobiety obiecującej śmiercią (czego szybko doświadczą) mężczyznom nieziemskie rozkosze.



Wiele światowych mediów typuje grę „Wiedźmin 2: Zabójcy królów” na czarnego konia sezonu

Za namową swego kompana Geralta, który tak oto zastawił pułapkę na bestię ze mną jako przynętą, zawodziłem zatem smętnie o północy, akompaniując sobie na lutni. Aż usłyszałem słodki głos przyzywający kuszącymi obietnicami... Cóż, ostrzegwał Geralt, bym nie szedł za wezwaniem i trzymał się z dala, bo nie łożnica mnie czeka, lecz katafalk. Nie posłuchałem. Zlazłem po drabinie do podziemnej kryjówki. Co działo się dalej, nie pomnę.

A potem, już jako Geralt, pospieszyłem ratować Jaskra. Stanąwszy oko w oko z potworem, mogłem go od razu zabić lub pierwszej spróbować przepaść. Każde z rozwidleń decyzyjnych w tym epizodzie – od wyboru dokonanego przez Jaskra poczynawszy – może zaowocować innym rozwojem zdarzeń. Być może konsekwencje podążania taką, a nie inną ścieżką dotyczyć będą też dalszej przyszłości. Trudno przesądzić, jak plastyczny okaże się ostatecznie świat „Wiedźmina 2”, ale przygoda z Jaskrem dobrze wróży.

Gra fabularnie jest kontynuacją zdarzeń z „Wiedźmina”. Po uratowaniu króla Temerii Foltesta przed skrytobójcą Biały Wilk pozostaje w centrum politycznych wydarzeń. Od niego zależeć będzie powodzenie spisków i przewrotów, a decyzje, po której staną stronie, nie muszą być oczywiste.

Gra robi wrażenie prezencją. Zdarzało mi się stanąć przy kimś tylko po to, by podziwiać kunsztowne zdobienia broni czy bogate w detale stroje, z widoczną fakturą splotu tkaniny. To są te rozkoszne drobiazgi, bez których gra niby mogłaby się obyć, ale bez których tak trudno uwiarygodnić przedstawiony świat.

Geralt może doskonalić się w rzemiosłach. Nie tylko dekolt alchemiczny uwarzy, pułapkę lub bombę do rzucania sprokuruje, ale i zbroję lub broń sobie narychtuje na podstawie instrukcji zwanych tu diagramami. Trafiłem na diagramy uczące przygotowywania wyważonych sztyletów i skórzanego kubraka. Biały Wilk pozostanie mistrzem mieczy, ale będzie też mógł rzucać nożami (na szczęście kuszą ni lukiem się nie splami – to by był przecież despekt dla Wiedźmina straszliwy).

Autorzy gry nie zapomnieli o premiach dla miłośników prozy Sapkowskiego i Polaków: trafiłem na alchemiczną recepturę oleju Krew Falki, na murze dostrzegłem plakat z Lelewelowskim hasłem: „Za wolność naszą i waszą”. Sylwetki solidarnych w boju elfa i krasnoluda dzierżących krzepko broń drzewcową też więcej powiedzą Polakom niż Amerykanom.

Gra „Wiedźmin 2: Zabójcy królów” będzie miała premierę 17 maja. Ukaze się w wersji na komputery PC.

# Wzmacniamy tożsamość Polaków

Jan Tomasz Gross to dla jednych polakożerca i oszczerca, dla drugich kontrowersyjny badacz, z którym warto polemizować, dla trzecich – ten, który naszą zbiorową pamięć potraktował bolesną terapią szokową. A kim jest **IRENA GRUDZIŃSKA-GROSS**, współautorka „Złotych żniw”?



Z **IRENA GRUDZIŃSKĄ-GROSS** ROZMAWIA MAREK ZAJĄC

## Irena Grudzińska-Gross

65 lat, historyk literatury i idei, publicystka i eseistka. Uczestniczyła w protestach studentów w 1968 roku; po zwolnieniu z więzienia wyjechała z Polski. Na stałe mieszka w USA. Wykładała na uniwersytetach New York i Princeton. Kierowała też programem dla Europy Środkowo-Wschodniej przy Fundacji Forda oraz Instytutem Nauk Humanistycznych na Uniwersytecie w Bostonie. Wydała między innymi „Piętno rewolucji. Custine, Tocqueville, Mickiewicz i wyobraźnia romantyczna” oraz „Miłosz i Brodski. Pole magnetyczne”. Wspólnie z Janem Tomaszem Grossem, byłym mężem, opublikowała w tym roku głośną książkę „Złote żniwa”.

– Przedstawię się podwójnie. Jedna strona medalu jest taka, że współpracujemy z Janem już od lat szkolnych. Druga – zawodowo zajmuję się literaturą; interesuję się metodami pisania historii, głównie opisywania wydarzeń trudnych, jak wojna, przemoc.

**Trudna historia i literatura od początku naznaczyły wasze życie. 30 stycznia 1968 roku studentka romanistyki Irena Grudzińska stała na balkonie Teatru Narodowego, wśród widzów był także student socjologii Jan Tomasz Gross, a na scenie trwało ostatnie przed zdjęciem z afisza przedstawienie „Dziadów”.**

– Umówiliśmy się z przyjaciółmi, że do środka dostaniemy się nawet bez biletów. Wiedziałam, że szykuje się awantura, ale nie zdawałam sobie sprawy, jakiego wymiaru historycznego nabierze nasza obecność na tamym przedstawieniu. Nieformalnym przywódcą był Karol Modzelewski. To on proponował hasła. W teatrze stał na prawo ode mnie, klaskał i wznosił hasła, a ja te brawa i okrzyki powtarzałam.

**A krzychał między innymi: „Niepodległość bez cenzury!”. Tyle że zamiast niepodległości przyszła fala emigracji. Decyzja, by wyjechać z Polski, była pani czy rodziny?**

– To była moja decyzja. Moja ucieczka. Urodziłam się po wojnie i przeżyłam dość szczęśliwe dzieciństwo, interesujące i intensywne lata na uniwersytecie. Byłam młoda, pełna optymizmu, zadowolona z życia. Może nawet naiwna, bo wtedy, w styczniu 1968 roku, wierzyłam, że będziemy żyli w wolnym kraju. Ale potem przyszedł Marzec – tragedia mojego pokolenia, moich przyjaciół i rodziny, która dla mnie dodatkowo wiązała się z poważnym załamaniem. Jeszcze raz muszę szczerze przyznać: z Polski po prostu uciekłam.

**Po przedstawieniu „Dziadów” milicjanci pytali zatrzymanych studentów: Czemu daliście się wykorzystać przez tych mośków?**

– Proszę mi wierzyć, długo byłam na to głucha. Wychowałam się w przekonaniu, że problem antysemityzmu w Polsce nie istnieje. Takie słowa z ust milicjanta czy tajniaka początkowo brałam w nawias. Tłumaczyłam sobie, że ci ludzie nie są dla mnie autorytetem ani nie reprezentują społeczeństwa.

**Więzienie było traumą?**

– Ogromną.

**A pierwszym emigracyjnym przystankiem były Włochy.**

– Przez trzy lata usiłowałam zorganizować sobie tam życie, ale nie udało mi się. Wyjechałam do Ameryki.

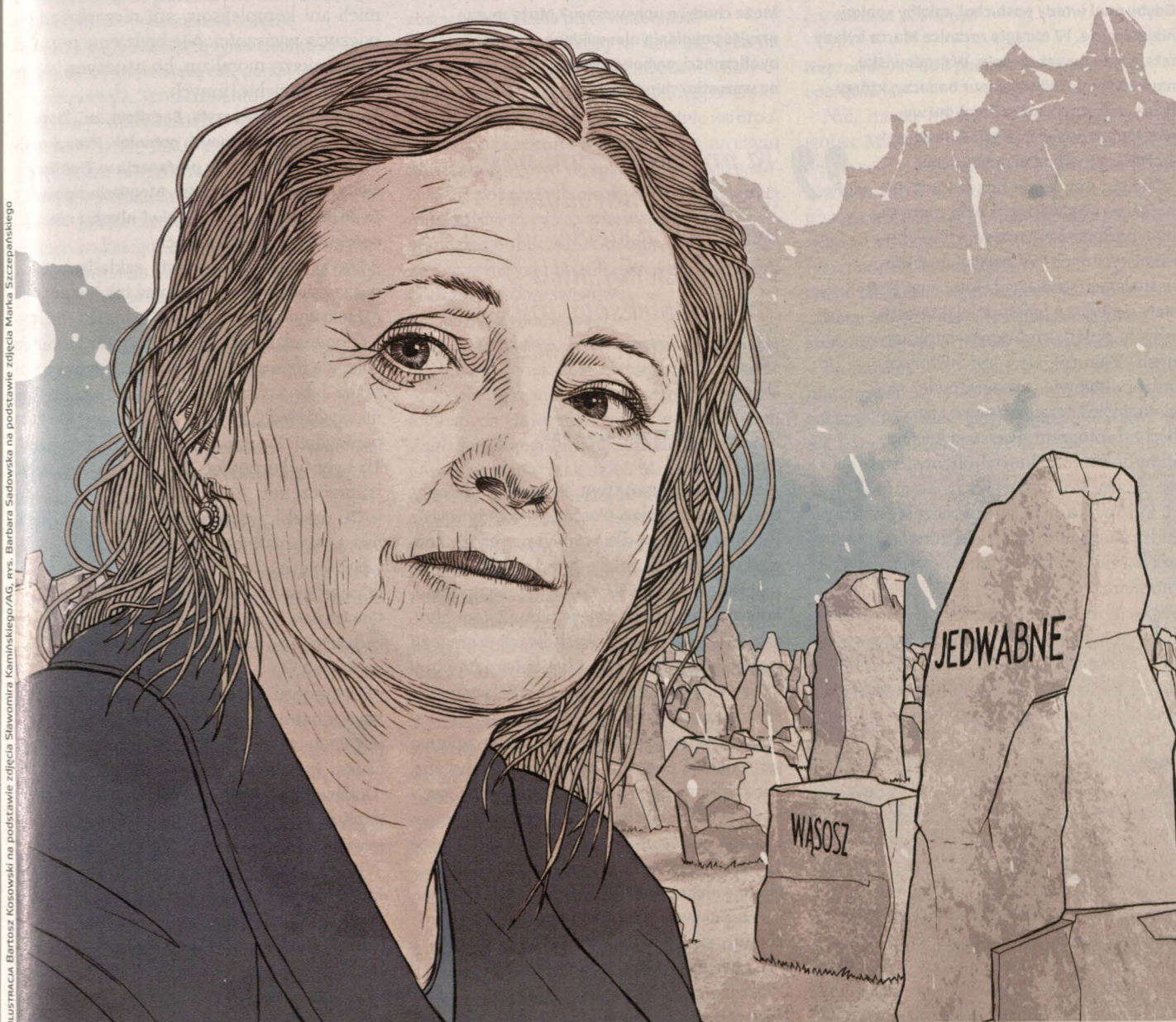
**Pokochała pani Nowy Jork, pisała, że to miasto „szczodre i akceptujące”.**

– W Ameryce mieszkaliśmy w różnych miejscach. W tym kraju jest wiele podobieństw między żołnierzami i profesorami. I jednych, i drugich na przykład przenosi się – powiedziałabym – z bazy do bazy. Zwiedziliśmy sporo uczelni, ale Nowy Jork jest jak jedyna w swoim rodzaju republika. Port, do którego wlewa się fala emigrantów, ich pierwszy przyczółek. Bardzo dobrze się w tym mieście czuję, bo nie muszę się zastanawiać, kim jestem ani w kogo chciałabym się przemienić.

**A kiedy spotkała się pani z Janem Grossem?**

– Jeszcze w czasach licealnych oboje przyjaźniliśmy się z Adamem Michnikiem, zetknęliśmy się właściwie dzięki niemu. Zakładaliśmy dyskusyjny Klub Poszukiwaczy Sprzeczności, robiliśmy ferment, na studiach byliśmy tak zwanymi komandosami. Potem spotkaliśmy się na emigracji, w Ameryce.

**Zostaliście małżeństwem, które opublikowało wspólnie kilka ważnych książek. Kiedy Jan Gross pracował nad „Upiorną dekadą”, postanowił dołączyć do opracowania relację Szmula Wasersztejna opisującą zbrodnię w Jedwabnem. Pani to odradzała. Dlaczego?**



” *Kiedy pisze się o przemocy własnego narodu, o ojczyźnie, to trzeba wyjść z ukrycia i zbliżyć się do tematu, nawet jeżeli grozi to poparzeniem. Robienie z historii apteki albo muzeum to moim zdaniem sposób na zdystansowanie się*

IRENA GRUDZIŃSKA-GROSS

→ - Pan dużo wie.

**Taki mam zawód.**

- Odradzałam, bo w przeciwieństwie do Jana odrzucałam to świadectwo jako niewiarygodne, fałszywe. Żydzi spaleni w stodole przez polskich sąsiadów? To przekraczało granice tego, co uważałam za historię możliwą. Jan też jeszcze do końca tego nie pojmował, ale czuł, że jest w tym jakaś prawda. Uznał, że musi nad sprawą Jedwabnego pomyśleć.

**Gdyby pani wtedy posłuchała, miałby spokojniejsze życie. W okrągłe rocznice Marca byłaby feta, może nawet medale. W środowisku naukowym nosilibyście laur badaczy, którzy odkrywali straszny los Polaków wywiezionych na Sybir. A tak dla wielu staliście się wrogami publicznymi.**

- Nic się nie dzieje bez przyczyny. Książka o Jedwabnem była naturalnym następstwem rozwoju nauk humanistycznych. W ostatnich kilkunastu latach studia nad Holocaustem stały się jedną z najbardziej interesujących dziedzin interdyscyplinarnych. Zajmują się nimi historycy, antropologowie, etnografowie, socjologowie, literaturoznawcy, specjaliści od fotografii. Powstają książki, filmy dokumentalne i fabuły, otwierają się muzea. Holocaust to czarna dziura w historii Europy, która po latach zaczęła przyciągać ludzi z ogromną siłą. I nas również przyciągnęła, choć przyznam, że długo się przed tym broniłam.

Poza tym zmienia się też sposób pisania o II wojnie światowej w ogóle. Ruszyły badania dotyczące wzajemnych relacji Rosjan i Ukraińców, Ukraińców i Polaków, Polaków i Żydów i tak dalej. Z poziomu starcia wielkich bloków zesłaliśmy na poziom terenu, ziemi, konkretnego pejzażu. I tu pojawiło się pytanie: jak Związek Radziecki i hitlerowskie Niemcy starały się wykorzystać lokalne niechęci i konflikty, by ułatwić sobie podboje? Jak tych dwóch agresorów jednało sobie miejscową ludność, żeby wykonywała za nich brudną robotę? **Jeśli nie Gross, i tak znalazłby się historyk, który trafiłby na Jedwabne?**

- Jestem tego pewna. Trafiłby na Jedwabne albo na Radziłów, Wąsosz bądź na coś równie wstrząsającego. Takich miejsc było wiele. Chodzi o całą przedwojenną Polskę, również o tereny, na których nie było Sowietów. A w tych przypadkach już nie można się usprawiedliwiać, jakoby pogromy były zemstą za kolaborację z komunistami. Przed spotkaniem z panem rozmawiałam z Jackiem Leociakiem, badaczem zajmującym się literaturą

czasów Holocaustu. Pojawiła się między nami taka kontrowersja: on twierdzi, że wszystko, o czym jest mowa w „Złoty żniwach”, polska literatura powojenna opisała już do lat 60. Kłopot w tym, że ja czytałam tamte książki, ale wtedy jeszcze ich nie rozumiałam. Tego prawie nikt z mojego pokolenia nie rozumiał. Można przecież słuchać i nie słyszeć. Można czytać, a nawet wiedzieć, ale nie rozumieć, nie pojmować, nie dostrzegać.

**Może chodzi o upływ czasu? Może muszę przyjść pokolenia niewywikłane w tamte okoliczności, wybory, emocje, które spojrzę na wszystko chłodnym okiem?**

**„Ta prawda uczyni naszą tożsamość narodową pewniejszą siebie. Nie będziemy mieli ani kompleksów, ani niezastuzonego poczucia wyższości**

IRENA GRUZIŃSKA-GROSS

- Paradoxs polega na tym, że im dalej od wojny, tym lepiej ją widać. Początkowo były ważne i istotne powody, dla których na nią nie spoglądano. To rozumiało, że tuż po hekatombie należało się podnieść. Gruzy trzeba uporządkować, a nie grzebać się w nich. Potem przyszło moje pokolenie - wychowane w amnezji wojny, w bezpiecznym i higienicznym obrazie, że Żydzi byli, ale zniknęli, a Polacy ponieśli straszne ofiary. W kolejnych dekadach jakakolwiek debatę blokował reżim. Zawsze łatwo jest znaleźć powody, by nie patrzeć wstecz. Ale dziś prawie nie ma ludzi pamiętających tamte wydarzenia z własnego doświadczenia. Dlatego ból jest mniejszy i możemy na wojnę spojrzeć trzeźwiej.

**Istnieje niebezpieczeństwo, że moje pokolenie, patrząc na wojnę, będzie ferować wyroki surowe, ale niesprawiedliwe. My nie rozumiemy, czym była okupacja, codzienny strach.**

- Na razie pańskie pokolenie i pokolenia młodsze wciąż są wychowywane na heroicznych wizjach II wojny światowej. A to wizje generalnie nieprawdziwe. Bo wojna ma niewiele wspólnego z bohaterstwem, przede wszystkim jest upokorzeniem. Inie myślę tu o szmalcownikach, polowaniach na Żydów. Musimy wreszcie zrozumieć, że II wojna była dla nas okresem wielkiego upokorzenia narodowe-

go, nawet jeżeli optymistycznie przyjemny, że większość Polaków stawiała opór albo walczyła z okupantem. Smutna i bolesna prawda jest taka, że Polska była podbita, a Polacy byli w gruncie rzeczy bezsilni. Tę prawdę trzeba odkryć, ona powinna ludzi wzmocnić.

**Nie rozumiem. Jak wzmocnić?**

- Ta prawda uczyni naszą tożsamość narodową pewniejszą siebie. Przystaniemy się bać, co o nas powiedzą za granicą. Nie będziemy mieli ani kompleksów, ani niezastuzonego poczucia wyższości. Nie będziemy popadać w nadmierny moralizm, bo nauczymy się tolerancji dla siebie i innych.

**To mnie pani zaskoczyła. Sądziłem, że „Złoty żniwa” pisaliście z innych pobudek. Prosty przykład: ostatnia większa profanacja w Treblince miała miejsce w 2002 roku. Mogliście założyć, że po publikacji „Złoty żniw” nikt już nie będzie miał czelności kopać.**

- Nie przypuszczam i nie zakładam, żeby nasza książka wywoływała aż tak bezpośredni efekt wychowawczy. Dziś jedna dziennikarka opowiadała mi, że pojechała do Treblinki i nagrała rozmowę z człowiekiem związanym przez lata z tamtejszym muzeum. Podobno się zdziwił: „Groby? Jakie groby? O czym pani mówi? Przecież tu nie było żadnych ciał. Tu były tylko popioły.” Absolutne wyparcie i zaprzeczenie.

Nie, nasza książka nie jest dydaktyką. Natomiast wspaniale jest, że wywołuje efekt otwierający i pociąga za sobą innych. Toczona debata, powstaną kolejne książki.

**Powiedziała pani, że na początku sama nie chciała brnąć w taką tematykę. Czego się pani bała?**

- Przyjmowanie przekazów o przemocy wciąż emocjonalnie dużo mnie kosztuje. Poza tym jest wiele przedsięwzięć dotyczących Holocaustu, które są nieprzemysłane...

**...kiczowate? Chodzi o chore przekonanie, że każdy szanujący się artysta powinien przynajmniej jedno dzieło poświęcić Zagładzie?**

- Tak, chodzi o kicz. Przecież najbardziej wpływowe produkcje, jak na przykład film Spielberga, nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Spojrzenie w rzeczywistość Holocaustu jest spojrzeniem w oczy bazyliuszka. Człowiek ze zgrozy kamienieje.

**Jest w „Złoty żniwach” fragment, przez który nie mogłem przebrnąć - opis torturowania Żydów, gdzie między innymi wielokrotnie gwałcono młodą matkę, a ta błagała o darowanie życia dwojgu swoim dzieciom.**

- Rzeczywiście, tego się nie da ot tak przeczytać. Po zagłębieniu się w tekst automatycznie o nim zapominałam. Potem wracałam i za-

czyniałam czytać jak zupełnie nowy dokument. I nagle sobie uświadamiałam, że już to znam. Tak działa psychika, która chce się odciąć od koszmaru. Jak u tamtego mężczyzny z Treblinki - to nie są ciała, to nie są ludzie. A to z kolei znaczy, że mnie to nie dotyczy. Kiedy jednak zrozumiemy, że siekierą zabito nie Żyda, ale po prostu człowieka, historia staje się naprawdę trudna do zniesienia.

**Tu dochodzimy do głównego zarzutu wobec „Złoty żniw” - napisaliście książkę jednostronną, pokazującą tylko ciemne strony, a przez to wykrzywającą całą perspektywę.**

- To nieprawda. Ten zarzut można by stawiać, gdybyśmy napisali książkę o stosunkach polsko-żydowskich. Tak, wtedy należałoby wspomnieć także o Sprawiedliwych, o wyrokach na szmalcownikach i tym podobnych. Tymczasem „Złoty żniwa” opisują tylko jedną, szczególną kategorię sytuacji: Żydów szukających schronienia na polskich wsiach w latach 1942-1945. Oczywiście z tego opisu mogą wynikać szersze wnioski, ale - powtarzam - przyjęliśmy bardzo konkretną perspektywę...

**...pisząc, jak krytykował profesor Paweł Machcewicz, historię zaangażowaną, zajmując się publicystyką, a nie obiektywnymi badaniami. Państwo ripostowali na łamach „Tygodnika Powszechnego”, że nie interesuje was historia muzealna. Co to znaczy?**

- W Polsce uznawany jest tylko jeden sposób pisania historii, w którym autor jest ukryty za gąszczem przypisów i podaje suche fakty. A przecież i tak historia nie pisze się sama, ale układa się w zależności od myśli i celu przyświecających autorowi. Mamy też odrębny gatunek, czyli esej historyczny, w którym autor się odkrywa i mówi wprost, że uważa tak i tak. „Złoty żniwa” zawierają nie tylko sprawdzalne, aptekarskie fakty, ale i warstwę eseistyczną z jasno wyrażonymi poglądami autora. Dzięki temu czytelnik nie czuje się przywalony nudnym podręcznikiem, tak zwaną prawdą obiektywną, która notabene nigdy nie jest od autora niezależna. Wie, kto i co do niego mówi.

**I dlatego książki Grossa wywołują burzę, podczas gdy opracowania innych historyków, z których on korzysta, przechodzą bez echa?**

- Jest jeszcze jedno. Kiedy pisze się historię roweru, autor może się ukryć, bo temat nie jest gorący. Kiedy jednak pisze się o przemocy własnego narodu, o ojczyźnie, to trzeba wyjść z ukrycia i zbliżyć się do tematu, nawet jeżeli

**chilli**  
ZET  
nastaw się  
na chill out

**Chilli ZET.**  
Radio w pogoni  
za kulturą  
[www.chillizet.pl](http://www.chillizet.pl)

grozi to poparzeniem. Robienie z historii ap-teki albo muzeum to moim zdaniem sposób na zdystansowanie się.

**Na marginesie zostawiam inne spory o zdjęcie stanowiące inspirację „Złoty żniw” czy poszczególne tezy i sformułowania z książki. Mnie interesuje pani motywacja, by uprawiać historię zaangażowaną. Chwaliła pani książkę Daniela Goldhagena „Gorliwi kaci Hitlera”, która w Niemczech wywołała wstrząs, a jednocześnie została zmiażdżona przez historyków.**

- Wszyscy moi koledzy z uczelni, łącznie z Janem Tomaszem Grossem, absolutnie odrzucają tę książkę. Zgodnie twierdzą, że Goldhagen jest złym historykiem. A mnie zaimpsonował, bo przekroczył dwie granice, na czym zresztą zawodowo się spalił. Po pierwsze, dosłownie pokazał niemiecką powszednią przemoc, co historycy skrytykowali jako półporno-grafię pod publiczkę. Po drugie, jasno napisał, że antysemityzm był siłą sprawczą wydarzeń podczas II wojny światowej.

**I to ma być zaskakujące?**

- Panu się wydaje, że to oczywiste, ale wcale tak nie jest. Większość historyków skupia się na mechanizmach biurokratycznych i technologicznych Holocaustu - jak zorganizowano Zagładę, jak regulowano rozkład jazdy pociągów do obozów i tak dalej. Mnie nurtuje pytanie, jak do tego doszło, że wspomniany już przeze mnie człowiek z Treblinki uważa dziś, że to nie są groby, a jedynie zwykłe wysypisko popiołu. Czy powiedziałby to samo, gdyby tam mordowano Polaków? Czy Żydów zabijano z taką łatwością, bo jako Żydzi byli napiętnowani, czy tak się stało tylko dlatego, że natura ludzka jest skażona i ludzie ludziami zgotowali ten los? Tych pytań wciąż się boimy.

**Słyszała pani argument, że Holocaust był straszny, ale przecież w Rwandzie wydarzyło się coś podobnego?**

- I nie odrzucam definitywnie takiego wyjaśnienia. Ale wiem, że to tylko część prawdy. Możemy, ale nie powinniśmy się przy tym wyjątkowi zatrzymać.

**Pani chce pójść dalej?**

- To ogromnie trudne.

**Z dwóch granic przekroczonych przez Goldhagena pierwszą ma już pani wspólnie z Janem Tomaszem Grossem za sobą. Wystarczy przeczytać, jak ludzie nurkują w szambie w Bełtzu, by wśród szkieletów utopionych tam dzieci szukać kosztowności. Kiedy przekroczy-cie drugą granicę?**

- Powtarzam, że to naprawdę trudne. W gruncie rzeczy przed tą granicą się zatrzymaliśmy. Chcemy ją przekroczyć. Widzimy ją daleko na horyzoncie, ale nie wiem, czy tam dojdziemy. Bo an-

tysemityzm jako motywacja do zabicia drugiego człowieka jest trudny do zbadania. Ale temat się powoli otwiera i nigdy się nie zamknie.

**I tym zajmie się pani w najbliższym czasie?**

- Nie, na razie będę znowu czytać Czesława Miłosza, ponieważ jest stulecie jego urodzin. Ludzie zajmujący się poezją zjeżdżają się do różnych wspaniałych miejsc, na każde takie spotkanie trzeba się przygotować.

**Może warto by przy okazji przewrotnie zapytać, czy wielkim poetą był?**

- Był.

**Naprawdę nie kusi pani, by noblistę trochę odbrązowić?**

- Nie, nawet byłam oskarżana, że jestem wobec Miłosza za mało krytyczna. Ale ja nie widzę celu w jego odbrązowianiu, a nawet porównywaniu z innymi poetami. Do kogo by go porównać? On jest samoistny. Niektóre jego wiersze są dla mnie jak rodzina, jak krewni. Pan rozumie, co mam na myśli?

**Chyba tak, ale nie dam za wygraną. A może w Roku Miłosza odezwie się w pani natura komandosa, który rozbijał sztampe i schematy?**

- Komandos nie walczy ze wszystkim. Komandos walczy tylko z rzeczami, które są niesłuszne. Taką mam przynajmniej nadzieję. ●

REKLAMA

**FREE SKI  
LAST MINUTE**

**Madonna di Campiglio (I) Residence Ambiez 3\* basen, od 1090 zł/os. Livigno (I) Hotel Original Gallis 3\*HB od 1750 zł/os. Tonale 1800 (I) Apt. Palace 3\* w Ponte di Legno, od 670 zł/os.**

+ samolot z Warszawy LOT Charters do Werony 1190 zł/os.  
+ 0, lub autokar od 395 zł/os. Obiekty również w Austrii,  
Francji i Szwajcarii, ww. oferta z 6 dniowym karnetem

801 326 026  
**alpytravel.pl**  
ski 2003  
100% otium



# Lubię ściany z historią

Nowa gwiazda street artu ma około 30 lat, na imię Peter i mieszka w Gandawie. Światu jest znany jako ROA, a jego wizytówką są zwierzęta. Nie zawsze żywe

JACEK TOMCZUK

**D** o malowania na murach nie dorabiam żadnej ideologii. To proste i przyjemne zajęcie, dlatego to robię – mówi ROA. – Po pierwsze, patrzę, co może dać mi ściana, jak mogę ją wykorzystać: czy ma załomy, okna, nierówności. Po drugie, co mam do dyspozycji: puszki czy wałek, podnośnik czy drabinę. Całe myślenie sprowadza się do dostosowania tego, co chciałbym namalować, do tego, czy fizycznie mogę to zrobić. Potem zaczynam pracę.

## Patrz, co jesz!

Jego sukces polega na tym, że zdobył uznanie zarówno w środowisku street artu, publiczności, jak i w świecie sztuki. Wizytówką Belga stały się zwierzęta: wielkie, przeskalowane, wychodzące z murów szczury, myszy, króliki, ptaki wijące gniazda na kominach, kopulujące świnię, małpy z bukietem kwiatów... Zawsze w ciemnych kolorach, posępne, często już tylko truchła w stanie rozkładu.

ROA maluje rzeczy zrozumiałe, czytelne dla wszystkich, nie posługuje się środowiskowym kodem typu napisy czy kroje czcionek jak wielu artystów ulicy, którzy wyszli ze środowiska graffiti. Nie porusza się też w stylistyce alterglobalistycznej. Tworzy prace bardzo ilustracyjne, emocjonalne, ale jednocześnie →



Wizytówką ROA są zwierzęta malowane na szafkach. Po ich otwarciu sympatyczny zwierzak zaczyna przypominać swój przekrój anatomiczny. Berlin, Urban Affairs, 2009

FOT. JENS KALBAENE/DPA/PAP

→ otwarte na interpretacje. – Zwierzęta kojarzą się z czymś miłym, czułym, bliskim, a on potrafi tworzyć z nich takie miejskie zgrzyty. Bo oglądanie pięciometrowego truchła ptaka w centrum miasta na pewno nie należy do przyjemności – tłumaczy Miasto z fundacji Vlepliv]net, która zaprosiła artystę do Warszawy. – ROA ma swój styl, zwierzęta są jego street logo, jak się fachowo mówi.

Przekaz Belga nie jest odkrywcy, ale nośny. Ciągłe przypomina mieszkańcom, że skupiając się na sobie, odwrócili się od natury, są w swoich miastach równie zagubieni jak przypadkowo wypuszczony z mieszkania na ulicę zwierzak, że miejska dżungla jest okrutna dla wszystkich jej mieszkańców. – Lubię gryzonia i ptaki, one są cichymi mieszkańcami miast. Maluję też świny i gęsi. Czerpię przyjemność z konfrontowania ludzi z istotami, które na co dzień zjadają – opowiada ROA.

Najchętniej maluje w miejscach na uboczu, zwłaszcza w nieczynnych od lat fabrykach. – Tam natura zastępuje cywilizację. Ptaki wiją gniazda na kominach, w szybach wentylacyjnych, małe gryzonia przejmują wypalone piece. Poza tym lubię malować, kiedy nikt nie przechodzi mi za plecami i ściany mają swoją historię. Pewnie dlatego nie maluję obrazów.

### Misie na Nowym Świecie

Zaczynał jako nastolatek w Gandawie. Słuchał Beastie Boys i Wu-Tang Clan, pod mostami tworzył hiphopowe graffiti. – Poznaliśmy się cztery lata temu, kiedy tamtejsze środowisko zaprosiło mnie do wspólnego malowania. Wtedy był jeszcze lokalnym graffiarczem – opowiada M-City, najbardziej znany na świecie polski artysta street artu. – Straciłem go z oczu, a po roku pokazał się już jako gwiazda.

Jego kariera potoczyła się szybko. Wystawy w galeriach Paryża, Los Angeles, Nowego Jorku, Londynu. – Wypatrzyliśmy go na zagranicznych fotoblogach, na które ludzie wrzucają zdjęcia ścian. Podobały się nam jego zwierzęta. Parę miesięcy później spotkaliśmy go w Berlinie. Malowali w nieczynnym już basenie. ROA namalował ptaka na szafkach w przebieralni. Kiedy były zamknięte, ptak wyglądał normalnie, ale po otwarciu szafek ukazywał się jego przekrój, organy wewnętrzne. Zaprzyjaźniliśmy się i zaprosiliśmy ROA do Warszawy. To było w listopadzie 2009 roku i myślę, że po wizycie u nas już nie wrócił do domu – śmieje się Miasto.

Dla takich freaków jak ROA liczy się sama możliwość malowania. Belg podróżuje z plecakiem, w którym ma trochę ciuchów i szki-ców, więc mu nie trzeba, farby dostaje →



O tego królika w Londynie pod koniec 2010 roku wybuchła medialna awantura. Właściciel ściany zezwolił na prace, ale władze dzielnicy Hackney chciały ją zamalować. „The Guardian” bronił artysty. Królik do dziś tam siedzi

Fot. Paul Hackett/Reuters/Forum



– Nie maluję kotów ani psów, każdy wie, jak one wyglądają. Wolę mniej popularne zwierzęta – mówi ROA. Tym razem postawił na tapira

→ na miejscu. – To taki współczesny tramp, jeździ od miasta do miasta, śpi u tego, kto go zaprosi. Teraz, kiedy sprzedaje prace w galeriach, pieniądze nie są problemem. Mam wrażenie, że i tak nigdy nie potrzebował ich wiele. Ludzi pokroju ROA nie obchodzi, co dzieje się na świecie, interesują się tylko „robieniem ścian” – opowiada M-City.

Mural powstał przy rondzie de Gaulle’a, na tyłach Nowego Świata. – Najtrudniej było zdobyć pozwolenie od stołecznego konserwatora zabytków. Poszedłem do jego zastępcy z trzema pracami ROA, był tam chyba królik, ptak i szczur, a on zapytał: mam sobie wybrać? Nie, mówię, to artysta zdecyduje. Pokazuję tylko styl, w jakim maluje. A on na to: to ja wybieram ptaka, i przystawia pieczętkę na kartce – wspomina Miasto. Na miejscu ROA zdecydował się na trzy niedźwiedzie.

Przyjechał na własny koszt, spał na squocie, fundacja Vlep[v]net zapewniła mu podnośnik i farby. – To pasjonat, zresztą jak większość tego typu artystów. Dla nich liczy się praca, adrenalina – mówi Miasto. – Normalny chłó-

pak: lubi wypić piwko i wódkę, wygląda bardzo niepozornie, aż trudno uwierzyć, że potrafi zamalowywać całe ściany – dodaje M-City. Belg podobno nie rozstaje się z ilustrowanym starym wydaniem „O pochodzeniu gatunków” Karola Darwina, skąd przerysowuje zwierzęta. – W antykwariacie przy Wspólnej kupił jakieś trzy przedwojenne atlasy zwierząt – będzie miał skąd czerpać inspirację. Poza tym przywiązuje dużą wagę do „czystości gatunkowej” malowanych zwierząt. Kiedy na Pradze chciał zrobić jakiegoś ptaka, wybrał dudka – śmieje się Miasto.

**Grunt to nie bać się wysokości**

Jeżeli komuś street art kojarzy się z niszczeniem ścian, malowaniem po nocy i w kominiarkach, to czas rozstać się z takim stereotypem. Aura nielegalności wokół tego nurtu to już wyłącznie zabieg marketingowy. Kiedy po sukcesie Banksy’ego okazało się, że na muralach można zarabiać duże pieniądze, środowisko zostało zaakceptowane przez rynek sztuki. Właściwie artyści pokroju ROA już nie



Łasice zamieszkują skraje lasów, łąki, pola. ROA umieścił je w centrum Londynu

pracują nielegalnie. Owszem, wraz ze swoimi marszandami tworzą wokół street artu otoczkę undergroundu, bo to jest sexy. Potwierdza to sam artysta. – Pościgi, policja, więzienie? Nie doświadczyłem tego. Większość ścian, na których pracowałem, była legalnie załatwiona.

ROA należy dziś do niewielkiego grona streetartowców, którzy utrzymują się z malowania, sprzedają swoje prace w galeriach i na aukcjach. – Przed festiwalem każdy zgłasza, czego potrzebuje: farb, asystentów, wyciągnika, czy chce zagruntować ścianę – opowiada M-City. – Do tego dochodzą bilety na samoloty, hotele, honoraria, materiały... Dzięki malowaniu zwiedziłem cały świat. ROA pewnie też. Gdybyśmy dziś zadzwonili do niego: przyjeżdż zrobić coś znowu w Polsce, pierwszy wolny termin znalazłby za rok.



for. Archiwum Vlep[v]netu

*ROA dla chętnych do pójścia jego śladem ma jedną wskazówkę: Nie możesz mieć lęku wysokości. To cię dyskwalifikuje jako malarza murów*



Trzy misie na tyłach Nowego Świata ROA malował sam przez trzy dni, 10 godzin dziennie. Dudka na siedzibie Vlep[v]netu nieco krócej

FILM

# Kobieta samotna ucieka

Rzecz o przetrwaniu na rumuńskich peryferiach

MALGORZATA SADOWSKA

**K**ino to czas, ale w kinie szczególnie lubimy te filmy, w których bohater czasu nie ma: zegar tyka, napięcie rośnie, atmosfera się zagęszcza: zdąży? nie zdąży? Dzięki temu, że na zatłoczeniu swoich spraw Matilda (Ana Ularu) ma jedynie dobrać, a tytuły rozdziałów odliczają upływające godziny, film nabiera mocy thriller. Historię zdesperowanej kobiety trzyma też w ryzach konwencja kina drogi – Matilda przesiada się do kolejnych aut, przemierza kolejne korytarze, odwiedza kolejne duszne mieszkania (jest lato, panuje nieznośny upał), prowadząc nas przez tytułowe, dosłowne i metaforyczne, peryferie. To przebieżka przez ciemną stronę współczesnej Rumunii z jej patologiami, o tyle jednak nieoczywista, że twórcy filmu zdecydowali się przyjąć perspektywę feministyczną. Współautorem scenariusza filmu jest Cristian Mungiu, re-



**Matilda (Ana Ularu)** doskonale wie, że seksapil to za mało w świecie ufundowanym na przemocy

zyser „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni”, którego bohaterki też działały w opresji, pośpiechu i też na obrzeżach komunistycznego prawa. Podobnie Matilda, która żyje co prawda w innych czasach, ale wciąż w tak samo patriarchalnym społeczeństwie. Jako więźniarka sytuuje się poza prawem niejako automatycznie. Poznajemy ją, gdy wychodzi na przepustkę, odsiedziawszy dwa z pięciu lat wyroku, którego w ogóle odsiadywać nie powinna. Zanim wyjdzie, odbiera swoje rzeczy

– to jest znaczący zestaw: szminka, puder, tusz do rzęs. Ale Matilda nie zamierza dłużej hołdować teorii, że „seksapil to nasza broń kobieca”, dlatego gdzieś po drodze do jej torebki trafi pistolet zabawka. Cenne złudzenie władzy w świecie, w którym stosunki między ludźmi opierają się na przemocy i hierarchii. W drodze ku wolności (chce odzyskać swoje pieniądze i uciec za granicę) spotyka kolejno: brata, byłego kochanka i ojca jej dziecka oraz ośmioletniego syna. Nikt nie zechce

jej pomóc, w nikim nie znajdzie oparcia, każdy ją zdradzi. Najważniejsza scena to ta, gdy opada już napięcie, a droga zdaje się dobiegać końca. Matilda wreszcie może odpocząć, na chwilę zamyka oczy. Zbyt szybko niestety zapomina, że zawsze trzeba być czujną w świecie, w którym mężczyźni nienawidzą kobiet. **\*\*\*\*** „Peryferie”, reż. Bogdan George Apetri, Rumunia 2010, 85', Against Gravity, premiera 25 marca

# Film przezroczysty

„Wygrany”, czyli młody niezdolny i śliczna higieniczna

**B**ardzo lubię Wiesława Saniewskiego. Opatrywał swoje filmy wyrazistym podpisem. Eksperymentował, czasem tragicznie się mylił, jak w niesławnym „Deszczowym żołnierzu”. Szedł na łatwiznę, ale zawsze konwencję naginał do siebie. Tymczasem w „Wygrany” to siebie naginał do konwencji. Wyciął się z filmu, redukując narrację do hollywoodzkiego gładkiego stylu zerowego. Opowiedział taką oto historię: utalentowany młody pianista zrywa pierwszy koncert swego światowego tournée, za co musi zapłacić gigantyczne odszkodowanie. Przy padkiem poznaje genialnego matematyka, pasjonata gry na wyścigach konnych. No i mamy odwieczny filmowy duet, stereotypowo skonstruowany i równie stereotypowo wzajemnie się dopełniający. Nie mogło

oczywiście obyć się bez wątku romansowego, więc na opuszczonym przez żonę horyzoncie uczuciowym pianisty rychło pojawi się śliczna higieniczna kasjerka z bukmacherskiej kolektury. Ta bajka przynosi garść pozytywnych przesłań: że najważniejsza jest wierność sobie, przyjaźń góry przenosi, a jeśli zasłuży się na miłość, to i ona się pojawi. Bajkowość nie jest grzechem, taki był w końcu reżyserski zamysł podkreślany w wywiadach porównaniami choćby do „Stracha na wróble” Schatzberga. „Wygrany” grzeszy jednak przywiązaniem do schematów, którymi reżyser rozgrywa motyw trudnej męskiej przyjaźni, życiowego kryzysu i miłości po przejściach. Ostentacyjny optymizm tego filmu drażni nachalnością, a baśniowy kostium



Janusz Gajos gra oszczędnie, a Paweł Szajda demonstruje warunki i braki

zmienia się w kiczowatą dekorację. Jeśli czymś „Wygrany” się broni, to aktorstwem. Janusz Gajos jako Amerykanin we Wrocławiu wiarygodność swej postaci osiąga prostotą i oszczędnością. Wojciechowi Pszoniakowi pasuje maska cynika estety. Żeby nie było zbyt pięknie, Paweł Szajda potwierdził okazane w „Tataraku” warunki i braki, a Mar-

ta Żmuda-Trzebiatowska ogranicza się do funkcji ozdobnej. Za dużo tych ozdobników, by w tę bajkę dało się nawet od biedy uwierzyć. **\*\*\*** „Wygrany”, reż. Wiesław Saniewski, Polska 2011, 98', Forum Film, premiera 18 marca

# RECENZJE MUZYKA



Maciej Szajkowski (w środku) z braćmi Rogińskimi (Kamil i Konradem) jadą pańszczyźnianym punkiem, aż kosy same stają na sztorc

# Kosy na sztorc

Jaki był los polskich chłopów? R.U.T.A. dowodzi, że hardcore'owy

JAREK SZUBRYCHT

**H**istoria Polski, której uczą nas w szkołach, to historia panów. Królów, walecznych rycerzy, samowolnej szlachty. Chłopi to bezbarwne tło, w najlepszym razie instrument w rękach możnych (uwłaszczyć czy nie?). Jaku-

ba Szele, hardego chłopca z Galicji, przedstawia się jako wyjątek od reguły – w dodatku niezbyt chlubny, bo nie dość, że naruszył tradycję uświęcony porządek, to jeszcze zrobił to (być może) za austriackie pieniądze...

**\*\*\*\*\*** R.U.T.A. „Gore. Pieśni buntu i niedoli XVI–XX wieku”, Karrot Kommando

# Trio triów

Fortepian w odświeżeniu polskiej, szwajcarskiej oraz indyjskiej

**E**ksperymenty Marcin Wasilewski odżył na następnym album. Musimy więc zadowolić się tym, że co wcześniej polubiliśmy jego trio: lirycznym, eleganckim, melodyjnym jazzem. „Faithful” składa się po połowie z autorskich kompozycji Wasilewskiego oraz z reinterpretacji przeszłości: utworów Paula Bleya, Hermeta Pascoala, Ornette'a Colemana, standardu „Ballad of the Sad Young Men” oraz otwierającego całość „The Secret Marriage” Stinga zapożyczonego z kolei od Hannsa Eislera. Wszystkie nagrane w szwajcarskim Lugano pod okiem szefa



**Marcin Wasilewski Trio** wciąż uchodzą za nadzieję polskiego jazzu, choć grają razem już od prawie 20 lat

wytwórni ECM Manfreda Eichera. Ze Szwajcarii pochodzi debiutujące w barwach ECM trio 31-letniego Colina Vallona. Zapatrzony w muzykę Kaukazu, Turcji i Bałkanów stamtąd

czepie chwyliwą melodykę, a czasem całe melodie. Jeden z utworów Vallon dedykuje jednak słynnemu islandzkiemu wulkanowi Eyjafjallajökull, inny północnym fiordom i rze-

**\*\*\*\*** Marcin Wasilewski Trio „Faithful”, ECM

**\*\*\*\*** Colin Vallon Trio „Ruga”, ECM

# Hooverphonic dla agenta

Nowy film o Bondzie jeszcze nie powstał, ścieżka dźwiękowa – owszem



**T**he Night Before” to bardzo filmowa, ilustracyjna płyta – refreny przywołują sceny z kinowej sagi o 007, a dyskretnie orkiestrowe aranżacje podbijają plastykę albumu. Ten patent sprawdza się nie pierwszy raz. W rodzinnej Belgii Hooverphonic są fonograficzną potęgą. Fanów nie zniechęciła nawet niedawna wymiana wokalistki – z tej dziwnej, trochę neurotycznej na tę oczywistą. Ale to nie nowy, wytoniony w kilkuetapowym castingu głos stanowi najszabsze ogniwo obecnego Hooverphonic, lecz przerost brzmienia nad treścią. Momentami więcej tu stylizacji niż melodii. „The Night Before” sprawdzi się więc w windzie luksusowego biurowca, ale może zawieść na koncertach. Co chętnie odszczekam, jeśli znów przyjadą do Polski. **ANGELIKA KUCIŃSKA**

**\*\*\*\*** Hooverphonic „The Night Before”, Sony Music

czywiście nastrojem „Ruga” dryfuje właśnie ku guru skandynawskiej pianistyki Esbjörnowi Svenssonowi czy Tordowi Gustavsenowi.

Jeśli istotą jazzu jest przekraczanie granic – niejako utrudnianie, a nie uprzyjemnianie życia – to szczególną wierność konstytucji gatunku zachowuje Vijay Iyer. Amerykańsko-hinduski odnowiciel fortepianowej improwizacji w 2008 roku zawiązał grupę z południowindyjskim gitarzystą Prasanną i tamtejszym tablistą Nitinem Mittą. Piękny, choć wymagający zapis ich wspólnej improwizacji łączy klimat klubu jazzowego, filharmonii oraz koncertu muzyki karnatycznej. To jedyna płyta w zestawie, która może was odmienić. **MARIUSZ HERMA**

**\*\*\*\*\*** Vijay Iyer „Tirtha”, ACT

## Eurodemolka

Jak Strzępka z Demirskim budowali we Wrocławiu sektor dla gejów

LUKASZ DREWNIAK

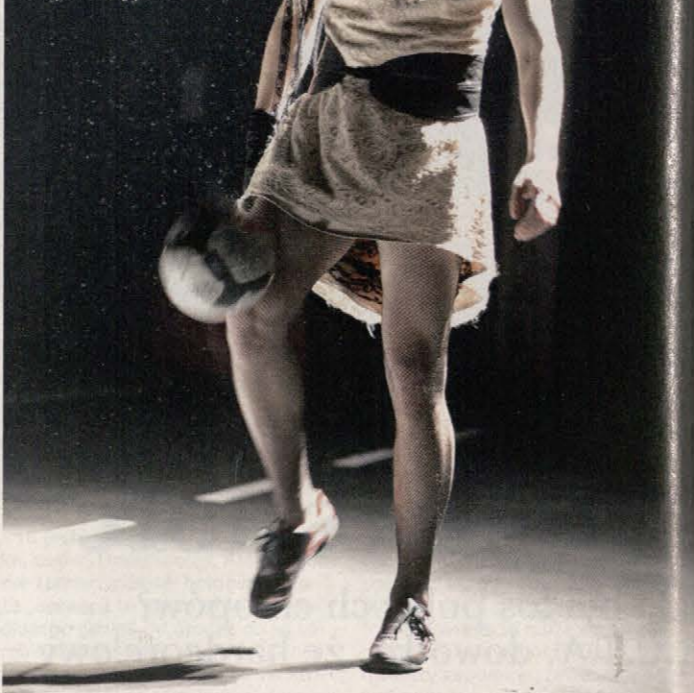
Powiedzieć, że Monika Strzępka i Paweł Demirski nie są entuzjastami rozegrania w Polsce turnieju o mistrzostwo Europy w piłce nożnej, to ledwo zanurzyć palec we wrzątku gniewu, jaki kipi im w głowach. W „Tęczowej trybunie 2012” wściekły tandem (w skrócie Strzęp-Dem) straszy nas serią złowróżbnych prorocztw. Euro okaże się kompletnym fiaskiem organizacyjnym. Kilku czołowych piłkarzy kadry dokona spektakularnego homoseksualnego coming outu. Chmary popowodziowych komarów sparaliżują ruch samolotowy na warszawskim Okęciu. Turyści utkną na zagubionych autostradach. Przebrani w islandzkie czapki z lisa obywatele artyści rzucą klątwę na rząd, życząc jego członkom rychłej śmierci.

Model teatru politycznego uprawiany przez duet Strzęp-Dem nie budzi sumień, tylko kanalizuje społeczne emocje. Wypowiada na głos nieparlamentarne słowa, które cisną się nam na usta, kiedy myślimy o umiłowanym kraju i zamieszującej go jednolitej etnicznie i wyznaniowo populacji. Odkryciem Strzęp-Demu jest forma teatralna, która niesie jego złą energię. W „Tęczowej trybunie” znów jesteśmy między badziewiem a metaforą, aktorską zgrywą a namiętą filipiką, bebeczowatą agresywnymi monologami a śpiewanymi na żywo songami. To nie są przyjemne seanse. Coraz bardziej przypominają Lemowską „wy-

szalnię”: obity gąbką pokój, w którym sfrustrowany osobnik może się bezkarnie wyszaleć. Tym razem głównymi celami ataku są premier Tusk, prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, reżyser Warlikowski, piłkarze Boruc, Dudek i Smolarek.

Na scenie asfaltowa droga, ubłoczona trybuna, jakieś rusztowania i bariera z pleksi, między którymi miota się banda gejskich kibiców. Prezydent Warszawy zabrała im klub, w którym oglądali transmisje meczów. Szukają wsparcia u urzędnika magistratu i znanego reżysera, „geja koncesjonowanego przez państwo, Ministerstwo Kultury i panią prezydent”. Ktoś rzuca pomysł wydzielenia na Stadionie Narodowym specjalnego sektora dla homoseksualistów. Wszystko na nic. Środowisko nie jest zjednoczone, a z nieustosunkowanymi „pedałami” nikt w tym kraju się nie liczy. Gorzej: bohaterowie odkrywają, że władza tak samo traktuje całe społeczeństwo. W monologach Demirskiego imponują mi intelektualne i stylistyczne szarże (termin „różowe wuwuzele” powinien się przyjąć się na stałe!), pastisz „Aniołów w Ameryce” i Sarah Kane. Aktorzy Katarzyna Strzałek, Michał Majnicz, Jakub Giel, Marcin Pempuś, Michał Chorościński fenomenalnie idą po bandzie niczym Krzysztof Globisz w znanym krakowskim happeningu. Mariusz Kiljan śpiewa energetyczną wersję „Guns of Brixton”.

Michał Chorościński – jeden z szalonych gejów jadących po bandzie nie tylko za pomocą piłki



Strzęp-Dem to nie jest najsympatyczniejsza krajowa para artystów teatru. Można ich nie lubić, w końcu Kantor też nie był miś przytulak. Ale powinno się zaakceptować teatr, który stworzyli. Pod połową ich kpin i błzgów można zresztą z czystym sumieniem się podpisać. Inne same się kompromitują. W końcu o wolność słowa walczyliśmy... Pozostaje pytanie o wymierny efekt oddziaływania ich teatru na społeczeństwo. Nie słyszałem, żeby po premierze drastycz-

nie spadło poparcie dla PO, by protestował rzecznik rządu, naród zaczął kontestować ideę Euro 2012 w Polsce, a w Mławie zbudowano pomnik anonimowemu homoseksualnemu sportowcowi.

\*\*\*\*\*

„Tęczowa trybuna 2012” Pawła Demirskiego, reżyseria Monika Strzępka, scenografia i kostiumy Michał Korchowicz, Teatr Polski we Wrocławiu

## Człowiek bez właściwości

W gorzkim „Konformiście” Marek Fiedor wraca do wysokiej formy

Zaczyna się od końca, od tłumy skandującego gniewnie po upadku Mussoliniego. Marcello (Michał Sitariski) i Giulia (Paulina Holtz) postanawiają wyjść na miasto, by zobaczyć, jak kona dyktatura. To jest ostatnia scena powieści Alberta Moravii. W spektaklu Marka Fiedora będzie powracał kilkakrotnie, od niej odbijając się będą kolejne retrospekcje. To z nich poznamy historię „Konformisty”.

Powieść Moravii liczy sobie niemal 500 stron. Fiedor zrobił z niej półtoragodzinne przedstawienie, co samo

w sobie musi brzmieć groźnie. Wiadomo przecież, jak zwykle wyglądają u nas adaptacje klasycznej, a trudnej do przeniesienia na scenę prozy – wycina się fabularny kadłubek, który nie ma nic wspólnego z oryginałem. Pisarz i tak nie może protestować. Przeciwnie spektaklowi z Powszechnego nie miałby powodu się buntować. Zwartą adaptacją Fiedora zawiera bowiem wszystko to, co w „Konformiście” najważniejsze. Jest historią dojrzewania bohatera do stopienia się z tłumem w dowolnej sprawie. Opowieścią

o tym, jak sprawić, by twarz widziانا w lustrze przy goleniu była podobna do nikogo. Świetnie gra to Michał Sitariski. Jego Marcello wydaje się idealnie wypruty z emocji, gotowy w każdej chwili klaskać i salutować. Statysta doskonały; takim, przekonuje z goryczą Marek Fiedor, historia zbyt często przyznaje rację. I buduje swój spektakl z przeplatających się scen, utrzymując je w zmiennym rytmie, jakby kleił je nie w teatrze, lecz na stole montażowym. Ten rytm czują aktorzy: kilka sekwencji wystarczy im do zbudowania mocnych ról. Paulina Holtz daje swojej Giulii coś więcej niż miłą buzię i ładne ciało – instynkt przetrwania. Olga Sawicka jest wyjątkowo małownicza w roli zapijającej się i ćpającej na umór matki. Lina Ziny Kerste ucie-

ka przed prostym rysunkiem zepsutej bohaterki. Panów – z wyjątkiem Sitariskiego – mniej zapamiętałem.

„Konformista” to powrót Fiedora do wysokiej formy po kilku mniej udanych próbach. Wciąż warto widzieć w nim artystę, który najlepiej czuje się na trudnych, nierozpoznanych terenach. Nie podpała lontu pod literaturę, lecz buduje z niej frapujący teatr. Bardzo niemodne dziś podejście.

JACEK WAKAR

\*\*\*\*\*

„Konformista” według Alberta Moravii, adaptacja i reżyseria Marek Fiedor, scenografia Monika Jaworowska, muzyka Tomasz Hynek, Teatr Powszechny w Warszawie

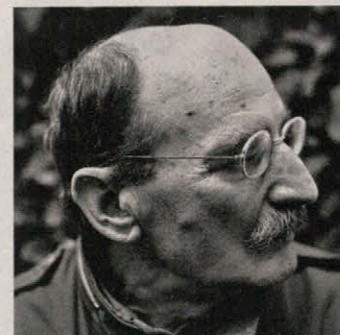
## Nie tylko dla wtajemniczonych

Korespondencja Sławomira Mrożka i Erwina Axera dla teatrologów będzie materiałem do badań, dla wszystkich innych – pożegnaniem z odchodzącą formacją polskiej inteligencji

JACEK WAKAR

Półka wypełnia się błyskawicznie. Obok „Dziennika” niedrukowane dotąd sztuczki, po listach do (i od) Jana Błońskiego, Wojciecha Skalmowskiego i Adama Tarna teraz te wymieniane z Axerem. W zapowiedziach kolejne tomy „Dziennika”, korespondencja ze Stanisławem Lemem, a ponoć również z Kazimierzem Dejmkiem oraz Jerzym Jarockim. Sławomir Mrozek pracowicie opróżnia swoje szuflady, dzieląc się z czytelnikami tym, co do niedawna miało zostać jedynie jego własnością. Znam takich, których oburza ta Mrozkowa wyprzedaż pism wszelakich. Tym bardziej że wyłania się z niej pisarz, jakiego może wcale nie chcielibyśmy poznać. Wciąż wyjątkowy, lecz jako człowiek niezbyt przyjemny. Pełen pretensji do świata, skupiony na sobie, bez sukcesu walczący ze swoimi demonami, zamknięty we własnych kompleksach.

Można sądzić, że dziś, gdy Mrozkowi jest już wszystko jedno, co się o nim myśli, mówi i pisze, publikowanie tych intymnych zapisków ma dla niego znaczenie najpierw, by tak rzec, merkantylne. Są, można na nich zarobić, poza tym lepiej samemu mieć kontrolę nad tym, co jest wydawane. Jednak to zbyt łatwe myślenie i nie na miarę Mrożka. Dlatego stawiam „Dziennik” i kolejne listy na ważnym miejscu w mojej bibliotece. Jako Mrożka gest ostatecz-



Mrozek do Axera, Axer do Mrożka – i tak przez ponad 30 lat

ny, deklarację: przez lata nic o sobie nie mówiłem, komunikując się z wami przez swoją twórczość, a teraz zrzucam maskę, róbcie, co chcecie, ze mną takim, jakim byłem.

Tom listów do i od Erwina Axera znacząco różni się od poznanej przez nas wcześniej korespondencji Mrożka. Przede wszystkim relacja bohaterów jest zawodowa. Oto młody dramaturg dobijający dopiero do pierwszego międzynarodowego sukcesu rozmawia z reżyserem o ustalonej renomie, starszym od siebie, bardziej wykształconym, wychowaniem lepszym świata lwowskiego bogatego mieszczaństwa (Mrozek sam podkreślał, że jest z chałupy w Borzęcinie). Wymiana listów zaczyna się w 1965 roku, gdy w prowadzonym przez Axera warszawskim Teatrze Współczesnym trwają



przygotowania do premiery „Tanga” w jego reżyserii. Spektakl stanie się legendą, zacieśni więź między inscenizatorem i autorem. Od tamtej chwili scenariusz był podobny: nowe sztuki Mrożka najpierw trafiały na afisz Współczesnego. Przynajmniej tego sobie życzył. Co nie znaczy, że od tej reguły nie było wyjątków.

Tak było aż do roku 1996, gdy Axer wystawił przy Mokotowskiej „Ambasadora”. Mrozek wysłał do Axera nowe teksty, ten planował premiery, z rzadka z nich rezygnował. Niektóre sztuki przyjmował z zachwytem, w niektórych postulował zmiany. Charakter ich korespondencji bywa techniczny, co w pierwszej chwili odstraszy może niezainteresowanych teatrem. Warto jednak czytać te listy uważnie, próbując między wierszami odkrywać charakter relacji Mrożka

i Axera. Ten moment, kiedy kontakt połączonych wspólnym interesem artystów zmienia się w niełatwą zapewne przyjaźń.

Równie ciekawe jest to, czego w tej książce nie ma. Momenty milczenia, gdy komunistyczna pętla zacieśniała się w roku 1968 i później. Wspólny przyjaciel Adam Tarn musiał wyjechać z Polski, Mrozek został objęty zakazem druku i wystawiania, a Axer przymuszony do gry z władzą, dyplomacji, w której nie mógł czuć się zrzęcznie. Nade wszystko zaś warto czytać te listy jako epitafium dla odchodzącej formacji polskiej inteligencji. Ich literacka wartość jest zdecydowanie mniejsza od poprzednich tomów, ale nawet te lakoniczne zdania, krótkie uwagi dowodzą tego, jak kiedyś ze sobą rozmawiano, nie tracąc czasu na nic niewarte brednie. Dlatego znaczenie kolejnych tomów listów Sławomira Mrożka zdecydowanie wykracza poza ekshibicjonistyczny gest starego pisarza. Można spoglądać na nie okiem historyka szukającego materiału do dokumentacji skończonej już epoki.



\*\*\*\*\*

Erwin Axer, Sławomir Mrozek „Listy 1965–1996”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 274, 54,90 zł

REKLAMA

www.mieszkaniowy.as

# Żadnych reguł

Komiks o Chopinie był skandaliczny? Ależ skąd, to „Torpedo” łamie wszelkie zasady politycznej poprawności. W świetnym stylu

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

**S**koro mamy już za sobą rozdmuchaną i kuriozalną aferę „Chopagate”, pora przyjrzeć się naprawdę skandalizującemu komiksowi, jakim jest „Torpedo”. To jedna z najciekawszych i najzabawniejszych serii kryminalnych, choć występujący tu humor jest piekielnie czarny.

Tytułowy bohater, włoski cyniel do wynajęcia, żyje z niesnasek między mafijnymi rodzinami. Lubi dobre garnitury i niebezpieczne kobiety, a że wychowała go ulica, nie grzeszy obyciem ani dobrym wychowaniem. To cham i prostak, który nie potrafi skłębic zdania, choć uroczko przekręca przysłowia. Akcja dzieje się w amerykańskiej metropolii czasów prohibicji przedstawionych za pomocą realistycznego i pełnego dynamiki czarno-białego rysunku. Mamy więc wszystko, co powinno się znaleźć w dobrej gangsterskiej historii: spektakularne akcje, strzelaniny i pościgi. Zbrodnia goni zbrodnię, a trupy zaścielają chodniki. Atmosfera jak na fotografiach Weegeego.

Ale na szczęście „Torpedo” jest wielowarstwowy i nie czyta się go dla tych wszystkich sztampowych rozwią-



zań. Po co zatem? Choćby dla kreacji głównego bohatera, który jest karykaturą klasycznego gangstera. Owszem, Torpedo to cyniczny i brutalny gagatek, który bez mrugnienia okiem potrafi zastrzelić staruszkę na ulicy, ale czasem także naiwniak, fajtlapa dający się podejść bardziej cwanim od niego, szczególnie uroczym damom. Jednak największą zaletą lektury „Torpedo”, zwłaszcza najnowszego, czwartego tomu, jest dawka humoru oraz bezczelna drwina z politycznej poprawności. Duet Bernet & Abuli nonszalancko pogrywa wszelkimi możliwymi stereotypami. Irlandczycy są tępymi mięśniakami, Włosi to zniechęceni typki o skłonnościach ho-

moseksualnych lub sadyści, a prawie każdy napotkany czarny jest zdeklarowanym gejem. W nowelce „Ciemna strona nocy” Torpedo wraz ze swoim pomocnikiem trafia do speluny w Harlemie, gdzie występuje piękna czarna szansonistka, jednocześnie szefowa tego przybytku. Kiedy gangsterzy jej podpadają, do akcji wkracza jazz-band złożony z czarnych gejów, którzy w akcie zemsty postanawiają wykorzystać seksualnie naszych bohaterów. To w ich życiu nowe doświadczenie, ponieważ do tej pory – jako zatwardziali szowiniści – instrumentalnie traktowali kobiety.

Hiszpańscy twórcy pełnymi garściami czerpią z konwencji noir, mieszając ją z komedią i zapomniałymi dziś *fumetti neri*, czyli włoskimi czarnymi komiksami z założenia naruszającymi wszelkie tabu. Skandaliczne? Owszem. Ale przy tym bardzo oczyszczające.

**TORPEDO** **\*\*\*\*\***  
**Enrique Sánchez Abuli** (scenariusz), **Jordi Bernet** (rysunki) „**Torpedo**”, t. 4, Taurus Media, Warszawa 2011, s. 144, 46 zł

## Bajki dla dorosłych

A gdyby tak bohaterowie „Księgi dżungli” żyli naprawdę...

**B**ezpretensjonalna zabawa z literacką tradycją – to nie jest mocna strona amerykańskich komiksów. Na ogół wychodzi sztywno i w napuszony sposób, czego dobrym przykładem mogą być niektóre części „Sandmana”. Na szczęście „Wilki”, ósmy tom cyklu „Baśnie”, nie ma z tym problemu. Pomysł serii zasadza się na założeniu, że postaci z ludowych podań czy późniejszej literatury dla dzieci istnieją naprawdę i tworzą odrębną, magiczną rasę zwaną Baśniowcami. Istoty te są dorosłe i poważne. Przeważają podwójne życie, muszą ukrywać swoje prawdziwe „ja” przed zwykłymi śmiertelnikami. Na pierwszy rzut oka

to wszystko może wyglądać wręcz idiotycznie, ale autorzy cyklu nie roszczą sobie żadnych wydumanych praw do tworzenia „czegoś więcej”. Bawi ich (a przy okazji czytelnika) polemika z tradycją, konwencjami i przerebianiem motywów przeznaczonych pierwotnie dla dzieci na treści dla dojrzałego czytelnika. W „Wilkach” twórcy biorą na warsztat „Księgę dżungli” Kiplinga. Oddzielając ją z powodze-



**\*\*\*\*\***  
**Bill Willingham** (scenariusz), **Mark Buckingham** (rysunki) „**Baśnie: Wilki**”, Egmont, Warszawa 2011, s. 128, 49,90 zł

niem od przesłodzonej, disneyowskiej kliszy, która dominuje w popkulturze, udowadniają, że można z niej zrobić ciekawą, a nawet nastrojową historię. Umieszczoną na okładce informacją o zdobyciu przez serię „Baśnie” siedmiu Nagród Eisnera proszę się

nie przejmować. W oczach Amerykanów być może jest to prawdziwie intelektualna literatura obrazkowa, ale nie ma co się czarować – to po prostu komiks relaksacyjno-rozrywkowy. W swojej lidze bardzo dobry.

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

CINEMA MUNDI  
 IM. ZYGMUNTA KAŁUŻYŃSKIEGO

PHILIPS CINEMA MUNDI  
 IM. ZYGMUNTA KAŁUŻYŃSKIEGO

PHILIPS CINEMA MUNDI  
 IM. ZYGMUNTA KAŁUŻYŃSKIEGO

PHILIPS CINEMA MUNDI  
 IM. ZYGMUNTA KAŁUŻYŃSKIEGO

PHILIPS CINEMA MUNDI  
 IM. ZYGMUNTA KAŁUŻYŃSKIEGO

# FESTIWAL PHILIPS CINEMA MUNDI

im. Zygmunta Kałużyńskiego

Przyjrzymy się najnowszej produkcji światowego kina, tej twórczej, kreatywnej, będącej antidotum dla zalewającej nas zewsząd komercyjnej papki.

DYREKTOR ARTYSTYCZNY FESTIWALU

Tomasz Raczek

Honorowy Patronat Prezydenta Miasta Łodzi  
 Pani **HANNY ZDANOWSKIEJ**

Gość specjalny - **CLAUDIA CARDINALE**  
 Dyrektor Artystyczny - **TOMASZ RACZEK**

NAJLEPSZE FILMY ŚWIATA WYPRODUKOWANE POZA HOLLYWOOD 1-3 KWIECIEŃ 2011 ŁÓDŹ  
 WSTĘP WOLNY

[www.philips-cinemamundi.pl](http://www.philips-cinemamundi.pl)

ORGANIZATOR:



SPONSOR TYTULARNY:

PHILIPS

SPONSOR:



MECENAS:

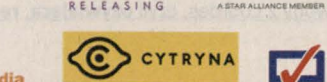


PATRONAT:



URZĄD MIASTA ŁODZI  
[www.lodz.pl](http://www.lodz.pl)

PTRONI MEDIALNI:





# ROZMAIŁOŚCI



Amerykańskie pianki, czyli marshmallows, jada się na dwa sposoby – wrzucone do kakao lub upieczone przy kominku

## ŁADNE RZECZY

# Zjeść ciastko

### Czyli kolejny etap inwazji imperialistycznego przemysłu glukozyowego

OLA SALWA

**U**waga! Do polskich spożywczaków wkradają się kolejni amerykańscy agenci. Tym razem mają postać Oreo, czarnych markiz z białym nadzieniem. Znamy je z filmów i seriali *made in USA*, gdzie razem ze szklanką mleka są lekiem na całe zło dla dręczonych przez nauczycieli dzieciaków lub kobiet ze złamanym sercem. Oreo w Stanach to niemal instytucja, a zawody, kto zgrabniej rozłączy zlepione kremem ciastka, to jedna z ulubionych rozrywek nieustannie tyjącego narodu. Trochę szkoda, że ten kontekst kulturowy został pominięty w polskich reklamach tych słodczy - na billboardach obok zdjęcia ciastka i szklanki mleka straszą rozkazy „Poliż, przekręć, zamocz” kojarzące się raczej z jakimś niezbyt miłym rytuałem kosmetycznym. Także dlatego, że na plakatach dominują kliniczna biel oraz marynarski granat. To tak, jakby kilkadziesiąt lat temu reklamować coca-cole'ę hasłami „Otwórz, nalej, spożyj”, ignorując skojarzenia z zachodnim stylem życia, wolnością i rock and rollem. Swoją drogą, ciemny gazowa-



Najazd Oreo na lokalne rynki został starannie przygotowany, a smak ciastek dostosowany do gustu tubylców. Nie wierzyć? Porównajcie polskie i amerykańskie Oreo – te drugie są słodsze



Komercyjna i ateistyczna wersja cudownej wody z Lourdes, czyli ożywiająca, regenerująca albo relaksująca Vitamin Water



NO ŁADNIE!

## Słodka wolność

**I**o najlepszy przykład skrajnego indywidualizmu w sekcji spożywczej. Nie lubisz migdałowego napoju Dr Pepper? Możesz wybrać jego czekoladowo-wiśniową wersję. Nie chcesz się tuczyć? Weź tę bez cukru.

ny napój od dawna nie jest już sztandarowym amerykańskim produktem - niemal w każdym kraju istnieje kilka lokalnych odpowiedników coca-coli, a jej obecność na półkach to oczywistość.

Wspólnym dobrem stały się też hamburgery, smażone kawałki kurczaka w panierce oraz prażona kukurydza. Ale spokojnie, zostało jeszcze parę typowych amerykańskich wyrobów, choćby owocowy napój Snapple. To ten, który pod nakrętką kryje ciekawostki zwane potocznie *snapple facts*. Następną w kolejce do potencjalnego najazdu na Polskę jest Vitamin Water, czyli woda z dodatkiem minerałów, wyciągów z roślin oraz oczywiście witamin, typowy wykwit mody na zdrowie i ekologiczne życie. Podobnie jak wszelkiej marki *smoothies*, które w dawnych, mniej wylansowanych czasach funkcjonowały po prostu jako „soki przecierowe”. Co pozostało tym, którzy chcieliby się przeciwstawić najeźdźcom? Chyba tylko ostentacyjne przegryzienie pawelka.

Słodkie, tłuste i potwornie kaloryczne, czyli kultowe lody Ben & Jerry's. Ich rywalem jest znana u nas marka Häagen-Dazs, założona zresztą przez polskich emigrantów



## OBYCZAJÓWKA

# Rebe patrzy... ...wzrokiem analityka



MICHAŁ WITKOWSKI

**K**orzystając z tego, że moja mama od kilku tygodni jakoś zapomina śledzić moje felietony w „Przekroju”, postanowiłem chwycić sposobność i szybko naskarżyć. Otóż moi starzy kupili sobie, a następnie wywiesili w pracowni portret przedstawiający Żyda z brodą, który trzyma w ręku monetę i patrzy znad okularów inteligentnym wzrokiem nowojorskiego analityka giełdowego. Tylko ten wzrok wyszedł malarzowi. Starzy mają rację - pieniądze akurat teraz bardzo się przydadzą. Przypomniało mi to o obowiązku odnowienia tego nowego zwyczaju. Podobne obrazy nabywa się ponoć (i tu element irracjonalny) w kwaciarniach. Jak dotąd w niektórych można było kupić małe krasnale z dużymi fallusami, ramki i ozdobne doniczki. Wszystkie te przedmioty łączyła bezdena i bezbrzeżna brzydota. Zwyczaju kupowania rabinów na (finansowe) szczęście nie było. Już jest. Mniej nadzieję, że tę figurę kulturową oszczędzi przemysł gipsowo-krasnalowy. Nie chciałbym zobaczyć gipsowych Żydów z wielkimi fallusami sprzedawanych z gazety na stacji benzynowej na drodze do Niemiec.

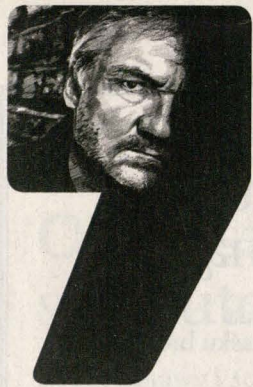
Pierwszy portret rabin z monetą zobaczyłem lata temu w muzeum w Zurychu albo i nie, w każdym razie w Szwajcarii, i było to arcydzieło Chagalla. Rabin chciał ugryźć złoty dukat, aby sprawdzić prawdziwość złota, z którego został wykonany, i - jak to się ujmuje w przewodnikach - jego dłoń na zawsze zastygła w pół drogi. Dzieło było doskonałe. Na środku białego czoła rebe go hitlerowcy przybili wielką pieczęć WYPRZEDANO. Właściwie nawet nie wyprzedano, raczej oddano za darmo. Niemcy bowiem pozbywali się żydowskich dzieł sztuki, a Szwajcaria, jak zawsze

cicha i skromniutka, korzystała z obfitości. Wskutek tego obecnie niemal każda wiocha, taka jak Schaffhausen, może poszczycić się zbiorami godnymi światowych stolic. Pomyślałem wtedy, że portret rabin z monetą zdecydowanie powinien się spodobać Szwajcarom, że nie ma w tym żadnego przypadku. Mógłby się znaleźć w godle tego kraju. W ogóle Szwajcarzy siedzą w tej swojej małej i spokojnej krainie jak Żyd w kantorku i gryzą sobie swoje monety, patrząc znad okularów na niespokojny świat zewnętrzny wzrokiem analityków giełdowych. Dobrze, ale klanowi Witkowskich do analityków giełdowych ciągle jeszcze daleko.

Sam wielokrotnie gościłem w małych ukraińskich miasteczkach, których nazwy ktoś spamięta. Sam bądź z moją kumpelką Paulą odwiedzałem groby najróżniejszych rabinów. Prawie w każdym z takich miejsc można było napisać kartkę z prośbą i gdzieś ją wrzucić, najczęściej położyć na grobie. Podobną włożyłem również w szczelinę Ściany Płaczu w Jerozolimie. Wszystkie prośby dotyczyły pieniędzy. „Kto jak kto, ale Ty, drogi Rebe, powinienes mnie rozumieć. Temat jest Ci bliski. Wiesz dobrze, że mentalnie pochodzę z Izrael, a i uroda taka bardziej w tym kierunku. Fundusze inwestycyjne się nie sprawdziły. Konto oszczędnościowe puste. Wokół sami Żydzi...” - pisałem w tych błagalnych liścikach. Z bardzo, delikatnie mówiąc, zmiennym szczęściem. Czasem powiało kasą, szybko się ją przelewało na jakieś mieszkanie i znowu nic nie było na miłą sercu konsumpcję. A jak powiało większą, to potem mi, Rebe, fundowałeś wojnę i obóz głodowy, koncentracyjny przez dwa lata. To ja - mawiałem w żydowskim akcentem - to ja zjadłem zapyś! To ja nie pomnażałem pieniądza! A pieniądź zjadany nie rośnie, tylko maleje! A tu przychodzi kryzys finansowy, ja wstaję rano, idę sprzedać jednostki funduszu Arka za pół ceny! To czy ja mogę teraz mieć pewność na spokojną starość i ładne mieszkanie? Rebe wykazywał łudzące podobieństwo do bogów - milczał i patrzył na mnie wzrokiem amerykańskiego analityka giełdowego. Inteligentnym i ostrym jak brzytwa. Z lekkim uśmiechem w kącikach oczu. Musiałem napisać o tym felieton i zarobić na moich karteczkach chociaż w ten skromny sposób!







*Pomijam milczeniem nazwanie przez autora czy autorkę tekstu Tomasza Manna „wielkim poetą”. Znak czasu i wieku – za młodu nie nad takimi rzeczami człowiek się pastwił. Przed wiekami nie na takie okazje się czatowało. Dziś – spokojnie*

12 MARCA

Z krótkiej notatki w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” dowiaduję się o śmierci księdza Brülla. Przytaczam całość. „W poniedziałek 7 marca w kościele Jezusowym w Cieszynie pożegnano ks. Tomasza Manfreda Brülla, ewangelickiego kapłana, który po przeżyciu 77 lat, w tym ponad 50 w pracy duszpasterskiej, spoczął na cmentarzu przy ulicy Bielskiej.

Ks. Tomasz Brüll urodził się 5 lipca 1933 roku w Bielsku-Białej. Co ciekawe, jego ojcem chrzestnym był znany pisarz Tomasz Mann, przyjaciel ojca dr Oswalda Brülla (autora biografii pisarza) – stąd też ukryte w imionach księdza imię i nazwisko wielkiego poety. Z powodu żydowskiego pochodzenia rodzina nasza znosiła w okresie okupacji najgorsze prześladowania ze strony hitlerowców. Babcia i ciocia zostały w Oświęcimiu zamordowane, a stryjek wraz z synami przebywał w różnych obozach koncentracyjnych. W szkole byłem na każdym kroku prześladowany. Będąc tak poniewieranym, zacząłem w jedenasty rok życia czytać Biblię – tak wspominał początek swojej drogi ks. Tomasz Brüll.

Po ukończeniu studiów teologicznych w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej ks. Tomasz Brüll został ordynowany w 1959 roku w Bielsku-Białej. Zaraz potem został wikariuszem w bielskiej parafii, a następnie pracował w wielu zborach, między innymi w Skoczowie. W 1960 powołano go na duszpasterza ewangelizacyjno-misyjnego na terenie diecezji cieszyńskiej i katowickiej, a później całego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Wraz z grupą pracowników Błękitnego Krzyża działał też wśród osób uzależnionych od alkoholu. W 1986 roku przeszedł na rentę chorobową, lecz nadal czynnie udzielał się w służbie w parafii cieszyńskiej. Zmarł 1 marca 2011 roku”.

13 MARCA

Na marginesie chcę podkreślić okoliczność niby zupełnie drobną, lecz w istocie o rzadkim wymiarze nie tylko międzyredakcyjnym,

ale też – przede wszystkim – międzyludzkiem. Otóż redakcja „Głosu Ziemi Cieszyńskiej” dba o mnie z zawstydającą troską i od lat, jeśli już nie od dziesięcioleci, z żelazną regularnością co tydzień w kolejne egzemplarze pisma zapopatrzuje. Przeglądam zawsze, głównie śledzę, losy mojego wiślańskiego praklubu piłkarskiego, kiedyś Startu, dziś Wisły Ustronianki, ale – jak widać – nie tylko. Mam nadzieję, że napomknienie o tej sprawie przy okazji pisania o niezwyklej postaci księdza Brülla ani niezwrócenia na nią uwagi nie jest, ani nikt jej za jakąś żenującą prywatę nie uzna.

Podobnie zresztą jak z kolei nie jest z mojej strony żadną wielkodusznością to, że praktycznie pomijam milczeniem nazwanie przez autora czy autorkę tekstu Tomasza Manna „wielkim poetą”. Znak czasu i wieku – za młodu nie nad takimi rzeczami człowiek się pastwił. Przed wiekami nie na takie okazje się czatowało. Dziś – spokojnie. Po pierwsze, mam wrażenie, że Mann za młodu nie tylko wierszami – że tak powiem – samymi w sobie grzeszył, ale też znacznie gorsze rzeczy wyprawiał. Mnie się zdaje, że spod pióra geniusza w swoim czasie wychodziły na przykład na wskroś poetyckie dramaty w duchu Fryderyka Schillera albo coś jeszcze bardziej krwawego. I co? I nic. Ludzie klaskali poecie. A ojciec biednego księdza Brülla najbardziej. Po drugie, w lapsusie, że autor „Czarodziej-skiej góry” był wielkim poetą, jest coś wymownie naszego, polskiego, gombrowiczowskiego – nie tyle wielkim poetą był, ale jak wielkim był, to tylko poetą był. Kraj poetów i wszystkie z tego faktu wynikające makabryczne konsekwencje. Nie uprawiam jakiejś żenady, nie dorabiam przecież – po starej cieszyńskiej znajomości – niefortunnemu autorowi „Głosu” obronnej teorii, ale co widzę, to widzę.

14 MARCA

Rzecz jasna, wiedziałem, że ojcem chrzestnym księdza Brülla był Tomasz Mann; bracia ewangelicy nie tylko z racji wątej liczebności znają się na wylot i nie takie rzeczy o sobie

wiedzą. Wiedzą przecież i znają sprawy nawet nieistniejące – jakżeby mieli takiej fundamentalności nie znać? Inna sprawa, że historia miała – jak nietrudno się domyślić – wymiar nieco jednostronny. Ojciec chrzestny prawdopodobnie o tym, że jest ojcem chrzestnym, wiedział – nic ponadto. Może raczej mniej.

Jeśli przejrzeć pod tym kątem „Dzienniki” pisarza, to owszem, nazwisko Oswalda Brülla, fabrykanta tekstylnego z Bielska, przewija się tu i ówdzie – na tych samych wszakże co setki innych nazwisk zasadach protokołowane jest z chłodną i lakoniczną wyniosłością. Przepraszam, raz nawet przychylniej i w gruncie rzeczy niebawale rozległe – w czwartek 11 grudnia 1919 roku Mann notuje: „Oswald Brüll, który zawsze nazywa mnie mistrzem, przyszedł, przynosząc dwa zeszyty, w które wkleił wszystkie omówienia »Fiorrenzy« (przedstawienie według opowiadania TM) razem ze zdjęciami głównych aktorów. Wzruszające”.

O wysoce bucowatym wizerunku twórcy „Faustusa”, jaki się z jego zapisków wyłania, napisano wystarczająco wiele, doprawdy nie ma już czym się ekscytować – w tym wypadku uwielbienie dla Mistrza było tak trwałe, wzruszenie Mistrza tak łaskawe, że za kilkanaście lat Mistrz – zapewne z lekkim tylko obrzydzeniem – małego księdza pastora Brülla do chrztu faktycznie trzymał.

15 MARCA

Niech to nie zabrzmie za łatwo, niech jedno z drugiego za prosto nie wynika, ale powiedzcie, że w samym Brüllu była pewna literackość, to nic nie powiedzieć. W nim był bezlik takich elementów. I wysoki, nosowy głos, i twarz pociesznego sybaryty, i anegdota o jego wilczym, a może dziecięcym apetycie, i to, że – jak opowiadano – podobno przeżył wyrzucony z pociągu jadącego do Oświęcimia, i sławna jego fotograficzna pamięć – chcieliście z jakichś powodów upewnić się, jaka była pogoda w pierwszym wtorek lipca pół wieku temu? Książka Tomek odpowiadał bez zająknięcia (w naturalny sposób łączył ten dar z rozległą erudycją). Widywałem go niekiedy w Skoczowie na gościnach, jakie z rozmaitych okazji proboszczujący tam jeszcze do niedawna mój wuj książdz Andrzej Czyż organizował. Można było wtedy docenić i narracyjny dar samego Mannowskiego chrześniaka – moja pamięć inna, ale kilka fraz przechowuje czule. Prawdziwie jednak bliski i niepozabawiony elementu przygodowego kontakt zdarzył się nam w pewien Wielki Piątek. Cdn.

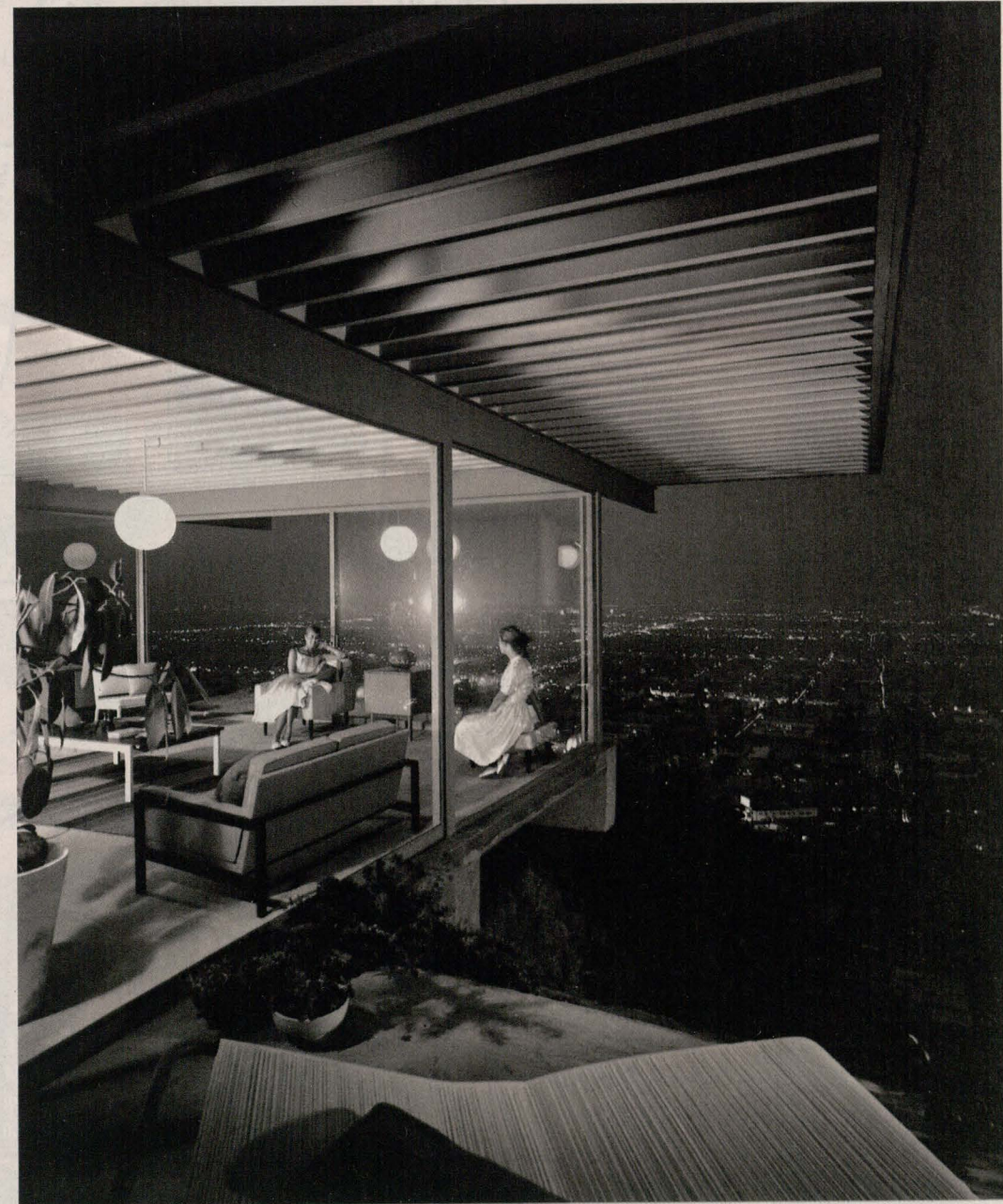
# California Dreaming

JULIUSA SHULMANA zdjęcia o architekturze i czymś więcej

KUBA DĄBROWSKI

California, 1945 rok. Wychodzący w Los Angeles branżowy miesięcznik „Arts & Architecture” rozpoczyna niespotykany projekt na szeroką skalę: redakcja zaprasza czołówkę progresywnie myślących architektów z całego świata do zaprojektowania modelowych domów, które wyznaczą przyszłość architektury mieszkaniowej w przeżywającej gospodarczy boom Ameryce. Wśród zaproszonych są takie gwiazdy, jak: Eero Saarinen, Richard Neutra czy Charles Eames. Co więcej, wydawca magazynu sponsoruje realizację projektów. Do roku 1966 w Los Angeles, San Francisco i Phoenix powstają 23 domy. Nazywają się Case Study Houses i są oznaczone kolejnymi numerami z serii. Budynki są publicznie dostępne, można je zwiedzać i inspirować się nimi. Z miejsca stają się architektonicznymi ikonami. Całe przedsięwzięcie dla magazynu dokumentuje fotograf Julius Shulman. – Moje zdjęcia nie opowiadają o budynkach samych w sobie. Budynki zajmują tylko architektów, zwykłych ludzi interesuje to, jak się w nich mieszka – mówi Shulman. – Architekci doceniają rozwiązania konstrukcyjne, cywile interesują się tym, które dy wjeżdża się do garażu.

Oprócz idealnej architektury zdjęcia Shulmana prezentują toczące się w jej kontekście życie. A ponieważ w niezamieszkałych Case Study Houses go nie ma, fotograf sam musi je stworzyć. Na potrzeby sesji mebluje mieszkania przedmiotami wypożyczonymi z pracowni nowoczesnych designerów, do wnętrza wprowadza modeli ubranych w stroje



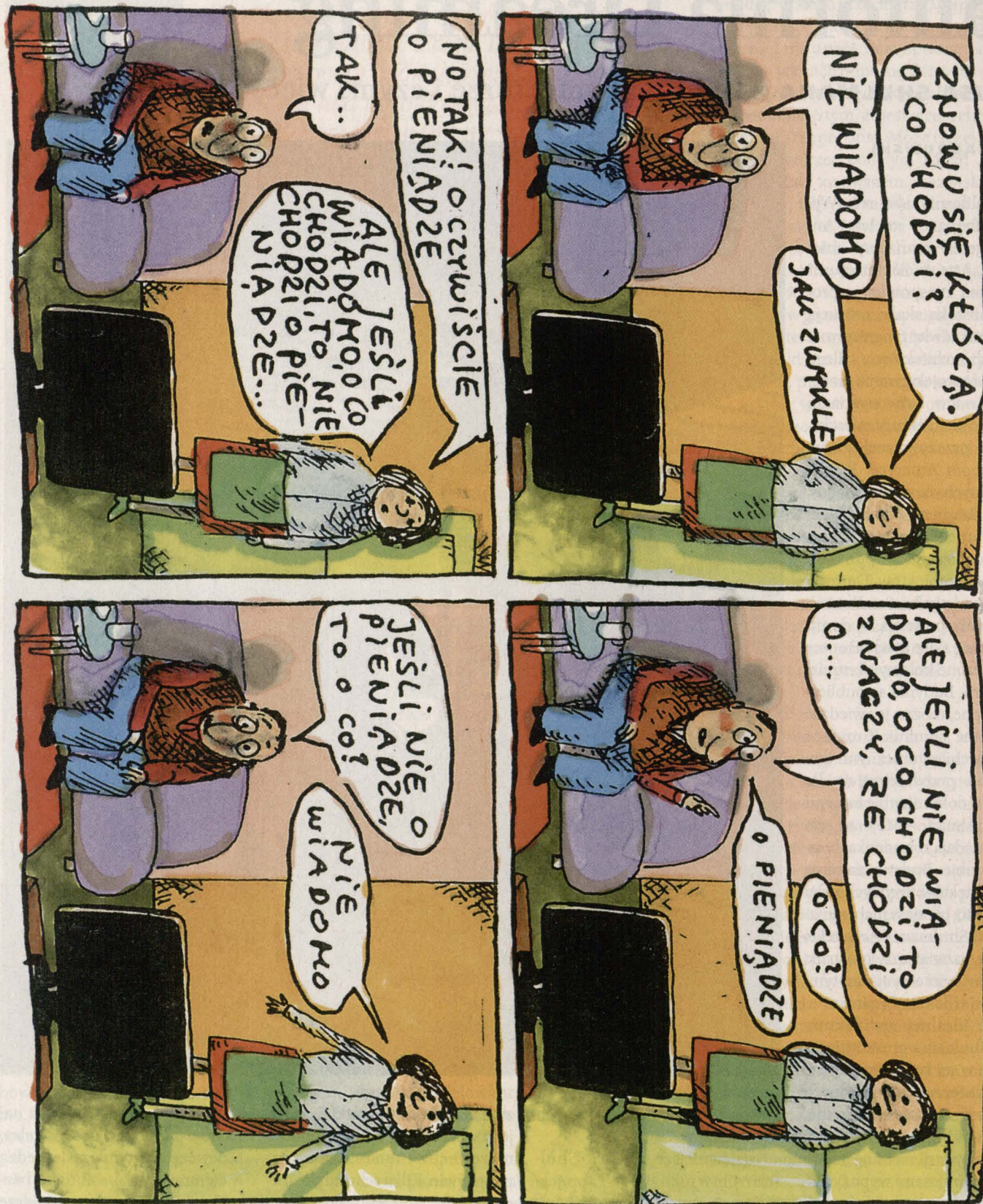
z kolekcji równie nowoczesnych projektantów.

Najsławniejsze zdjęcie Shulman robi w roku 1960 w zaprojektowanym przez Pierre'a Koeniga domu numer 22 w Hollywood Hills. Do przeszklonego salonu

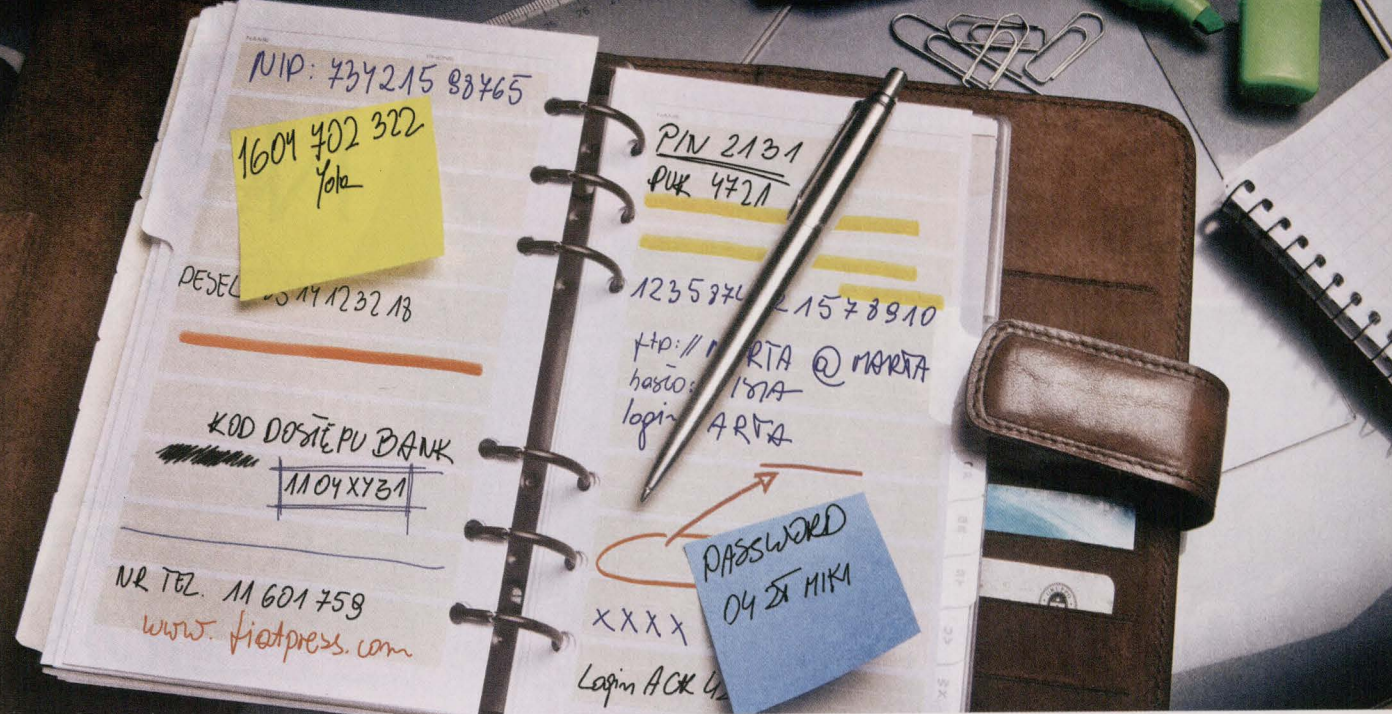
zaprasza dwie studentki. Usadza je na krzesłach, sam wychodzi na zewnątrz i umieszcza aparat na statywie. Kilka sekund po uruchomieniu migawki asystent fotografa gasi światło w pokoju. Migawka zostaje otwarta, przez

kolejne pięć minut Shulman nawiązuje panoramę Los Angeles. Dziewczeta w tym czasie siedzą w ciemności w absolutnym bezruchu. W pozowanym kadrze spełnia się kalifornijskie marzenie o modernistycznej utopii. ●

© J. Paul Getty Trust. Used with permission. Julius Shulman Photography Archive, Research Library at the Getty Research Institute (2004.R.010)



R  
A  
Z  
J  
E  
S  
Z  
C  
Z  
E  
R  
A  
C  
Z  
K  
O  
W  
S  
K  
I



W TEORII IM WIĘCEJ ELEMENTÓW, TYM WIĘCEJ KOMPLIKACJI.  
 W PRAKTYCE IM BOGATSZE WYPOSAŻENIE, TYM WIĘKSZY KOMFORT.



**Fiat Punto MyLife**  
 nawigacja TomTom, klimatyzacja,  
 radio CD/MP3, Blue&Me z USB,  
 cztery poduszki powietrzne,  
 wspomaganie kierownicy  
**39 990 zł**

**Fiat Panda MyLife**  
 klimatyzacja,  
 radio CD/MP3,  
 wspomaganie kierownicy,  
 o 25% mocniejszy silnik  
**29 990 zł**

POZNAJ KOMFORTOWE ROZWIĄZANIA  
 DOSTĘPNE TERAZ W STANDARDZIE W WERSJI MYLIFE



PUNTO: silnik benzynowy 1.2 8v 69 KM, zużycie paliwa (l/100 km): cykl miejski – 6,7; cykl pozamijski – 4,4; cykl mieszany – 5,2; emisja CO<sub>2</sub> w cyklu mieszanym (g/km) – 123,0.  
 PANDA: silnik benzynowy 1.2 ECO, zużycie paliwa (l/100 km): cykl miejski – 6,4; cykl pozamijski – 4,0; cykl mieszany – 4,9; emisja CO<sub>2</sub> w cyklu mieszanym (g/km) – 113,0.  
 Fiat. Producent samochodów z najniższą emisją CO<sub>2</sub> w Europie – źródło: JATO Dynamics, na podstawie średniej emisji CO<sub>2</sub> (g/km) w najlepiej sprzedających się samochodach w Europie w 2010 roku. Prezentowane samochody są jedynie ilustracją. Oferta ważna do 31 marca 2011 r. Szczegóły w salonach.

# NOWA

KOLEKCJA



# WÓLCZANKA

wolczanka.com.pl